http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Piotr Choynowski

KIJ W MROWISKU

IGNIS

C
4
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

KIJ W MROWISKU

http://rcin.org.pl

TEGOŻ AUTORA:

HISTORJA NAIWNA. Nowele. Wydanie II
RUCHOME PIASKI. Dramat
POKUSA. Nowele. Wydanie II
KUŹNIA. Powieść

SKŁADY GŁÓWNE — Kraków: S. A. Krzyżanowski
Łódź: Ludwik Fiszer — Poznań: Fiszer i Majewski
Wilno: Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego

http://rcin.org.pl

PIOTR CHOYNOWSKI

KIJ W MROWISKU

· ALTRUISTA · BAROWSKA · WYZNANIE ·
WACEK · O CZAROWNEM ZIELU I RYCERNYM
PASIE · W CUKIERNI · O SMUTNYM RYCERZU
· STRASZNY DZIEŃ IANKA · ZDARZENIE ·

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS" SP. AKC.
WARSZAWA TORUŃ SIEDLCE

http://rcin.org.pl

Okładkę rysował Tadeusz Gronowski.
Odbito 5.200 egz. na papierze
zwykłym i 12 egz. na bibułce indyjskiej w drukarni
„Rola" J. Burtana
w Warszawie
1923 r.

2237

http://rcin.org.pl

ZAMIAST PRZEDMOWY

Nowością w książce niniejszej jest tylko nowela tytułowa. Inne ukazały się już w r. 1911 pod ogólnym tytułem „Zdarzenie". Los tego wydania nie był najszczęśliwszy. Zbiorek ów, bity w niewielkiej ilości egzemplarzy, okrojony przez rosyjską cenzurę, pozostał publiczności prawie nieznany. Wzgląd powyższy, jak również pewna niechęć do „pechowego" tytułu, skłonił mnie do nadania edycji niniejszej innej nazwy ogólnej. Może będzie szczęśliwsza. Aby nie wprowadzać w błąd tej drobnej liczby czytelników, którzy „Zdarzenie" nabyli (autor pragnąłby takiego poznać osobiście, by wyrazić mu swe ubolewanie), umieściłem wykaz nowel, do zbiorku należących, na karcie tytułowej w podtytule. Na okładce niepodobna go było zamieścić ze względów graficznych.

Dla ścisłości bibljograficznej zaznaczam wreszcie, iż nowela „Czyn", skonfiskowana ongiś przez cenzurę rosyjską i drukowana w krakowskiem tylko wydaniu „Zdarzenia", w skład zbiorku niniejszego nie weszła.

AUTOR

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Rokrocznie zjeżdżało się do Dankowa dzieciarni na kopy. Mająteczek leżał przy samej łódzkiej szosie, niedaleko od stacji kolejowej. Komunikacja przepyszna. Co wiosny też listy bliższej i dalszej rodziny zapowiadały stryjence Maryni bliski napływ smyków różnego wieku, a zawsze „z poprawkami" lub „bez promocji". Samych „nicponiów", „gałganów", „darmozjadów", „zakutych łbów". Co lata też Danków stawał się czemś pośredniem między rajem, a kolonją poprawczą.

Stryjenka wiodła śród nas regiment surowy. Cały tydzień wolno było na własną odpowiedzialność na głowie stawać, cały tydzień korepetytor notował tylko nasze zbrodnie w specjalnej książeczce, a dopiero w sobotę po południu następowała „wypłata". Dla młodszych generalne wały, dla starszych samotne rekolekcje w zamkniętym pokoju. Stryjenka bo trzymała się zacnych, choć nieco przestarzałych systemów edukacji.

Siaki taki „wódz Siuksów" albo „Robinson Kruzoe", dumnie odziany w starą kapę od łóżka,

http://rcin.org.pl

z koguciemi piórami w czuprynie, przestępował przecie w sobotę progi kancelarji z miną zrezygnowaną, a niespokojną.

Witał go wewnątrz ciemnawego pokoju przykry widok moczonych w kubełku rózeg i grzmiący bas pana Wróblewskiego, starego stryjenczynego rządcy.

— Jak się masz, Mieciu! Chodźno, aniołku...

I zaraz chwytano skazańca za rękę, a olbrzymi, sękaty paluch Wróblewskiego kiwał mu się przed nosem w miarę wygłaszanych tyrad moralnych.

— A ładnie to Chaimowi gruszki kraść po nocy? Przystoi to Mieciowi? Po pańsku to, czy po złodziejsku? Jak Miecio myśli? A Miecio nie wie, że „od rzemyczka do koniczka"? Nie wie, Miecio, co? (prawa ręka sięga już do kubełka z rózgami).

Zdarzało się wówczas czasem, że delikwent *in extremis* wyrywał się znienacka i trzeba go było potem przez parobków z wierzchołka lipy ściągać; zwykle jednak winowajca ścinał zęby i mówił pogardliwie wedle panującej śród nas mody:

— Co pan będziesz gadał... Rżnij pan!

Rządca chrząkał wtedy i przedmuchiwał olbrzymie wąsiska.

— Hę?

Poczem zwracał się szybko w stronę okna, gdzie korepetytor, z zielonym kajecikiem w ręku,

http://rcin.org.pl

słuchał tej rozmowy z ironicznym uśmiechem. (O łajdak!)

— Panie profesorze, a co się należy?

Od okna dolatywało suche:

— Piątka.

I pan Wróblewski rżnął piątkę, że w niebie było słychać.

Poczem, łagodnie już wypychając młodzieńca za drzwi, powtarzał sakramentalne zdania:

— No, po ojcowsku było... A idźże teraz, Mieciu, pocałuj dobrodzikę w rękę, że cię uczy.

Młodzian szedł, pocierając dłonią skrzywdzone miejsce, na ocieniony winem ganeczek, gdzie stryjenka, ucałowawszy mokre jeszcze ślepia, podsuwała mu czubaty talerz poziomek ze śmietanką, czy jagód z mlekiem.

— Jedz, jedz, kochanie, na zdrowie... Od rana dla ciebie chowam.

Działo się nam w Dankowie cudownie.

Ledwie połknąwszy swój talerz poziomek czy jagód pogodzony już ze światem i z własnem sumieniem biegł skrzywdzony Miecio czy Wicek do dziecinnego „wigwamu" obmyślać psie figle na następny tydzień. Ktoby tam o przyszłej sobocie pamiętał!

Stosownie do wieku i naukowych godności dzieliliśmy się na „malców", „średniaków" i „starszych". Życie malców kręciło się wkoło wydzierżawionego sadu i gry w Indjan, starsi grywali w tenisa o tygodniową pensję, zajeżdżali cha-

http://rcin.org.pl

bety fornalskie i strzelali kotne samice z wykradanej panu Wróblewskiemu fuzji, a średniaki— no, dla tych nie było wogóle nic świętego! Z właściwą u chłopaków lat 13 do 15 dzikością urządzali brewerje wprost niesamowite, litości ani wstydu nie znając wcale. Któregoś dnia upalnego, namówiwszy podstępnie żydów z miasteczka do kąpieli w stawie, wyciągali ich potem przy pomocy olbrzymiego wodołaza Łapaja. Jednego z korepetytorów, co się pod kuchnię czeladną podkradał, złapali w żelaza, i tylko gruby but go od straty kończyny obronił. Wyjechał nazajutrz. Innemu mało oczu nie wypalili, dosypując prochu do papierosów. Stangretowi Kubie, co się na nich stryjence poskarżył, podczas snu obcięli wspaniałe wąsiska, przedmiot westchnień wszystkich spódnic w okolicy; polowego Cianciarę za to samo sprali w kilku tak sumarycznie, że chłopisko tęgie i odważne unikał ich przecie, jak zarazy. Każdy „profesor" po tygodniowej próbie siły puszczał się z nimi w dyplomację, a i pan Wróblewski przystępował do egzekucji z pewnym wstrętem... Miłe były chłopaki!

Wśród masy chłopczysków, tułała się tylko jedna dziewczynka, Kazia, stryjenczyna jedynaczka. Miała lat jedenaście, flegmatyczna była, gruba i niesłychanie obżarta. Nienawidziliśmy jej wszyscy z całej duszy. Nawet malcy bawić się z nią nie chcieli, a i ona, przy swej flegmie

http://rcin.org.pl

i tuszy zdawała się nie dbać o to wcale. Całemi dniami łaziła wśród nas jak senna mucha, obojętnie niby, a dobrze miarkując i bacząc, „co też te chłopczyska znowu wyrabiają". Każdego wieczora stryjenka i panna Łucja, gospodyni, miały przez nią najdokładniejsze relacje. Boże! jakesmy jej nienawidzili! Tknąć tego palcem nie było wolno, bo i stryjenka żartów tu nie znała, a i pan Wróblewski „rżnął" wtedy z pełnej ręki, sapiąc i przygadując z pasją.

— Na kobiety rękę podnosisz?! A masz! a masz! gałganie! wisielcze! pokrako!

Unikaliśmy jej tedy jak zapowietrzonej, przy wszystkich „kawałach" z góry przed nią czaty wystawiając. W razie zaś „wsypy" całe tygodniowe pensje szły na czekoladę, cukierki i pierniki dla tej jędzy. Dawała się, dzięki Bogu, przekupić. Przyjmowała łakocie z flegmą i powagą, jako należną daninę. Ale już siaki taki, co się właśnie za palenie papierosa opłacił, mógł być pewien, że przy stole, przed samą zupą nie odezwie się drwiący i obojętny głos z pod ramienia chudej panny Łucji:

— Mamusiu! A niechno Tadek chuchnie! Zobaczy mamusia.

Dotrzymywała umów dość statecznie.

Mimo jednak zgryźliwego charakteru młodocianej Kazi, coś przecie z obcowania z chłopcami i do niej przylgnęło. Jakoś na początku lata jeszcze, usłyszawszy trafem przekomarza-

http://rcin.org.pl

nie się Kazi z bitnym Mietkiem, stryjenka aż w ręce klasnęła ze zgrozy. Dziewczysko klęło jak pijany fornal. Jezus, Marja! Na złożonej tegoż wieczora z panną Łucją naradzie, zdecydowały te panie natychmiast sprowadzić Francuzkę do Kazi dla „manier i języka".

— Chłopaki też się czegoś przy niej nauczą — mówiła stryjenka.

(Zacna stryjenko! Wzorze polskich matron! Jakżeż było można... tak lekkomyślnie...)

Uczyliśmy się tedy. Zamiast spodziewanej starej Francuzicy zjawiła się dziewczyna młodziutka, lat może 17-tu, „prosto z klasztoru" a śliczna jak cukierek. (O stryjenko szalona!) Gdy nad wieczorem zajechał wolant przed ganek, cała licznie zgromadzona kolonja poprawcza wbiła w nią wzrok osłupiały, jak krowa w płot. Nikt nie drgnął, ani chrząknął. Bogowie! Dopiero gdy na wysokim stopniu pojazdu ukazała się nóżka w cieniutkiej pończoszce i wszyscy westchnęli jak na komendę, sama stryjenka z niepokojem przerwała niespodziewany czar.

— A rusz-że się tam który!

I zaraz bezczelny Wacek od „starszych" małpiemi ruchami zniósł prawie dziewczynę z wolantu, a średniacy i malcy wszczęli srogie wrzaski i kuksańce o zaszczyt dźwigania pakunków. Wyrwawszy komuś letnią parasolkę, dojrzałem jeszcze, iż starszy Janek, syn stryjenki, co się właśnie na maturę obciął, patrzył na manewry

http://rcin.org.pl

Wacka z obrzydzeniem. Więcej nawet. Zagwizdał tylko, obrócił się i poszedł.

Objęliśmy m-elle Julie w posiadanie.

Na mnie osobiście śliczna Francuzka zrobiła wrażenie olbrzymie; takie jak na Kolumbie Ameryka. Przejrzałem. Jako trzynastoletni, a dobry uczeń tułałem się dotąd na pograniczu średniaków i starszych, sam o sobie wątpiąc, kędy przynależę właściwie. Widok pięknej Julji wahania te usuwał. Uczułem odrazu, żem „starszy" bez gadania.

Zaraz też, obejrzawszy krytycznie własną garderobę, ujrzałem również, żem „flejtuch" i brudas. Bokami tedy, poza stajnią, rzuciłem się do naszej oficyny, żeby ściągnąć któremu co ładniejsze spodnie i krawaty. Niestety! ostrożność była zbędna. W oficynie szumiało już jak w ulu. Śród klątw i borykań pucowano się i czyszczono nagwałt. W którymś kącie ze zgrozą dostrzegłem Tadka, jak rozebrany do pasa, szorował się mydłem — mydłem! — nad miednicą. O niezapomniany widoku! Zajrzawszy zato do szuflady, przekonałem się z bólem, że skradziono mi już jedyny stary krawat i połowę chustek do nosa. Poczerwieniawszy z pasji, rzuciłem się w bój z zapamiętaniem...

Do kolacji stawiliśmy się w komplecie i bez opóźnień, jak nigdy. Boże, co tam były za stroje! Dworzanie królowej Dahomeju nie występują na uroczystych przyjęciach z takim szykiem!

http://rcin.org.pl

Stryjenka oglądała nas z milczącem przerażeniem. Szczególniej smarkacze, co wszystko małpować chcieli! Taki Wicek ukradł perfumy pannie Łucji i zlał się tak, że koszula była na nim mokra jak od potu, a sąsiedzi mimo heroizmu wytrzymać obok nie mogli. Cuchnął jak laboratorjum. Kazano mu wstać od stołu ku powszechnej uldze.

Panowało zresztą przy tej kolacji milczenie srogie i przygnębiające. Nikt oczu nie śmiał podnieść od talerza, chyba ukradkiem. Takim właśnie złodziejskim sposobem, dojrzałem przecież, że i wągrowaty korepetytor, pan Lisikiewicz z prawa, ma nowy krawat i czyściuteńki kołnierzyk. Ba! ku własnemu zdumieniu już dostrzegłem, że pan Wróblewski — sam pan Wróblewski! — podkręcając siwego wąsa, spogląda na Juljetkę płomienistym wzrokiem. Widziałem też w odpowiedzi na to ceglaste z pasji wypieki panny Łucji... Dalej nie widziałem nic, bom musiał właśnie pokazać język Kazi, która zerkała ku mnie jak zwykle bezczelnie i drwiąco, dając do poznania, iż wie, gdzie raki zimują...

Zaraz też rozległ się jej przykry, konstatujący głosik:

— Mamusiu! Julek wywalił mi calutki język, o — taki!...

Ba! Przykra to była niby kolacja i ponura, a słodka przecież nad wyraz. Aż parno było wkoło stołu od najgorętszych, bo niejasnych na-

http://rcin.org.pl

dziei. Poszaleliśmy wszyscy, jakby nam kto blekotu zadał. Nawet spać zlegliśmy w milczeniu i bez bójek.

A zaraz nazajutrz rozpoczęły się rycerskie o Juljetkę harce. Już o świcie ktoś pościnał sztamowe róże z przed ganku i przez otwarte okno na pierwszem piętrze powrzucał do pokoju panien, Francuzki i Kazi. Gruba Kazia, znalazłszy rano na kołdrze pęk szkarłatnego kwiecia, otwarła nań oczy okrągłe, jak karp. Nie rzekła zresztą nic. Nie poskarżyła się wcale. Zato panna Łucja wszczęła gwałt niesłychany. Biedna Julie ponsowiała sama, jak róża, i aż do łez. Stryjenka kiwała głową z wyraźnym już niepokojem. Winowajcy nie znaleziono. Milczeliśmy wszyscy jak grób mimo podstępnych badań pana Lisikiewicza. W cichości ducha jego samego o tę zbrodnię podejrzewałem. Taki był jakiś rozradowany... Wały otrzymał ktoś przez losowanie imion.

Ogarnęła nas też odrazu chwalebna żądza wiedzy. Szczególniej malcy z całą naiwnością dopominali się u stryjenki o lekcje francuskiego. I uczyli się naprawdę. Zapanowała wśród tych głuptasów jakaś moda miłości, jak przedtem moda gry w ekstrę. Po tygodniu zamiast zwykłej przysięgi „jak Boga kocham" klęli się z całym cynizmem „Jak Julję kocham". Bili się przytem w piersi z przejęciem, aż panna Łucja bladła ze złości...

Średniaki zabiegali nietyle o regularne lekcje,

http://rcin.org.pl

co o okazję do konwersacji. Rzec można, iż banda ta nie odstępowała Juljetki ani na chwilę. Poza mną nikt tam nie mówił po francusku, ale i nikt też o to nie dbał. W partji tej każdy starał się nie o to, by coś uzyskać, lecz raczej aby innemu nie dać. Słyszało się tam często ponure: „Zaczekaj, pokażę ci później"...

Albo też się bili, albo urządzali wspólnie (zawsze wspólnie) coraz to nowe dla Juljetki przyjemności... To rwanie żydowskich malin, to łowienie raków, to kawalkaty na fornalskich chabetach, to olimpijskie igrzyska... Któregoś dnia dali ucztę (lody z kradzionej pannie Łucji śmietanki) na stawie, zbudowawszy w tym celu własnoręcznie ogromną tratwę. Tratwa zaraz poszła na dno na środku stawu. O mało nie utopili przytem Francuzki i Kazi. Pannę Julję uratował od niechybnej śmierci maturzysta — Janek, rzuciwszy się wpław bez namysłu. Doniósł ją zato, mokrą i „zemdloną" do samego domu. (Do dziś mam wrażenie, że te właśnie zbawcze przenosiny ustaliły późniejsze Jankowe triumfy).

„Starsi" zachowywali się odrazu bezwzględnie powściągliwiej. Rozumiejąc dobrze, że w tej wojnie wszystkich przeciw wszystkim, na czujnych oczach tłumu, nic się uzyskać nie da, oczekiwali okazji z wytrwałością i uporem. Czekali nieraz po dni kilka, by wyrzec pięć wyrazów. Było ich trzech: bezczelny Wacek, starszy „stryjenczyn" Janek, Felek z szóstej — a o dziwo!

http://rcin.org.pl

przyłączył się do nich teraz i pan Lisikiewicz. Ci sobie tylko deptali po piętach. Panu Lisikiewiczowi było najtrudniej, bo musiał dbać i o powagę. Śmieli mu się też wszyscy w nos.

Zdumiało nas wszystkich szczególne w tym czasie zachowanie Kazi. Ten apatyczny i jadowity grubas zmienił się nie do poznania od przyjazdu Juljetki. Nie było już mowy o poprzednich niesmacznych skargach i denuncjacjach. Gruba Kazia przylepiła się do Francuzki jak mucha do miodu i śledziła nasze manewry okiem raczej życzliwem. Szeptom i śmieszkom wychowawczyni z pupilką nie było końca (nie wiedzieć w jakim te panie porozumiewały się języku...) Kazia stała się szafarką łask. Od niej z natury rzeczy zależało, kto dziś pójdzie „z nami" na spacer, ona jedna znała rozkład dnia pięknej Julji co do minuty. Nie zrzekła się przytem łapówek. Tylko za czekoladę i cukierki dawało się ugiąć to żelazne sumienie. Zrujnowała też malców i średniaków w ciągu miesiąca kompletnie. Z rozpaczy jęła ta banda zgrywać się między sobą: mądrzejsi w „sześćdziesiąt sześć", głupsi wprost w „baka" Oszustów i niewypłacalnych „prano" bez litości. A gruba Kazia jadła. Zjadła w tym czasie cały sklepik rudego Ajzyka.

Panna Julja zaś, piękna Juljetka — oszalała wraz z nami. Tylko oszalała gruntowniej. Bo i jakżeż tu było nie oszaleć, dostawszy się prosto z klasztoru w taką zgraję chłopczysków?

http://rcin.org.pl

Chodziła w blasku i uwielbieniu, jak królewna w bajki. Toć już nietylko kolonja poprawcza, ale i pan Lisikiewicz dostał wyraźnego bzika! Ba! Toć pan Wróblewski miał też dla niej względy jak dla nikogo! Trzeba było przecież coś zrobić, trzeba było wybrać! Orjentowała się odrazu w stronę „starszych". Wyprawy ze „średniakami" były tylko sprytnie układanym podczas szeptów z Kazią parawanem istotnych flirtów. Juljetka promieniała jak słońce i piękniała co dnia. Panny Łucji bała się zresztą jak ognia, a o stryjence zdaje się, nie myślała już wcale ze strachu. Zagadnieniem życia było tu, kogo ze „starszych" wybrać? Kogo wybrać?. Boć wybrać kogoś trzeba było koniecznie.

Po miesiącu też sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Malcy i średniaki, zmęczeni miłosną monotonją, wracali pomału do gry w ekstrę i do dzikich kawałów.

Wągrowaty pan Lisikiewicz dąsał się, pienił, był wściekły. Robił najgłupiej w świecie lodowatą obojętność. Mścił się podczas „wałów" i w czasie lekcji. Grubjański Felek z szóstej wrócił do łuzjii do wieczornych wypraw ku wsi gospodarskiej. Miał tam, widać, interesy. Na widowni zostali tylko: bezczelny Wacek i starszy Janek.

Co do mnie, dusza moja pełna była melancholji. Nie łudziłem się. Pojąłem jasno, iż nie dość czuć się starszym—trzeba mieć jeszcze lat przynajmniej szesnaście. Inaczej kobiety traktują

http://rcin.org.pl

lekceważąco i jeśli całują, jeśli nawet całują, to całują — o zgrozo! — z obojętnością. Zowią cię wtedy dość głupio „mon petit page“ — i sensu w tem żadnego niema.

Któregoś ranka rozmyślałem właśnie o tem ze wstrętem, paląc papierosa na gruszy. Palenie było oczywistą zbrodnią, za którą groziła nieunikniona „piątka“. Upatrzyliśmy tedy z Tadkiem ową gruszę w kącie ogrodu, jako schronienie przed sprawiedliwością ludzką. Grusza była stara, wypróchniała, rozłożysta i zdziczała tak gruntownie, iż nikt się już nią nie zajmował. Wśród wyższych kondygnacyj gałęzi, znaleźliśmy tam dwa wygięte konary. Wpółleżąc na nich jak na klubowych fotelach, z papierosem w ustach, wiedliśmy tu nieraz z Tadkiem zblazowane konwersacje o marności świata i niepewności serca kobiecego.

Dziś byłem sam. Jak się rzekło, melancholijny i zgorzkniały. Myślałem właśnie, czy warto ściągnąć talerz malin, nieostrożnie zostawionych przez pannę Łucję na oknie, gdy uszu mych doszedł ostrzegawczy gwizd. Spojrzałem poprzez listwę — Tadek. Pędzi ścieżką, dając gwałtowne znaki, abym złaził.

— Złaź, Julek! Złaź!

— A bo co?

— Złaź, głupi! Prędko złaź!

Zgasiłem papierosa, niedopałek włożyłem systematycznie do pudełka, pudełko i zapałki owi-

Fundacji im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

nąłem szmatką, wszystko ukryłem w głębokiej dziupli—i wówczas dopiero zsunąłem się na ziemię.

— Co takiego?

Tadek ledwie mówił z zadyszki.

— Pobili się, uważasz... Jak ci go gruchnął młotkiem od krokieta, myślałem, że nogi poprzetrąca... A ten dopiero! Jak go nie walnie w łeb!...

— Ale kto? Co?

— Jakto kto? Janek Wacka, rozumie się...

— Niech ich tam djabli — mruknąłem.

— ...Kazia jakby nigdy nic. Patrzy. Dopiero Julja się odwróciła — jak nie wrzaśnie! Wpadła między nich, bo byliby się pozabijali. Tarmosili się na ziemi, jak opętani...

— A cóż tam Julja robiła?

— Głupiś. O nią właśnie poszło. Grali niby w krokieta. Wacek jak to Wacek! ciągle groził, że Julję pocałuje. Ona w śmiech. Janek nic. A tu Wacek jak nie przyskoczy, jak jej nie ściśnie! I pocałował, o tu! pod nosem. A Janek podleciał, jak nie strzeli w samą gębę. Wacka, rozumie się. Julka w nogi. A Wacek za młotek...

— No i co? — przerwałem.

— Ano, niewiadomo co... Janek grozi, że go zabije jak psa. Siedzi w altanie. Ciebie szukał.

— A skarżypyta gdzie? U panny Łucji?

— Kazia? Chyba nie. Nie myślę, żeby szczekała. Zresztą Janek gębę jej zatka, nie bój się. Będzie żuła przez tydzień. Chodź!

http://rcin.org.pl

Szedłem pełen uczuć niepewnych. Że Julja daje się całować — źle. Że Wacek dostał za swoje — dobrze. Ale co dalej? Co mnie do ich bijatyki? Janek coprawda zawsze mnie wśród średniaków wyróżniał, nawet na polowanie z nim chodziłem... Że mnie wzywa — zawsze honor... Szedłem niepewny.

Janka znaleźliśmy w altance w medytacjach. Twarz miał surową, koszulę w strzępach. Ledwie nas zoczył, rzucił przez ściśnięte zęby:

— Zastrzelę łajdaka, jak psa.

Wzruszyłem ramionami.

— Phi, jak zastrzelisz, to będziesz gnił w kryminale. I ze szkoły cię wyrzucą...

Nie zwrócił na to uwagi.

— Siłą, uważasz, całował, siłą! A łajdak! Zastrzelę! Słuchaj, Julek. Idź go zaraz wyzwać odemnie! Natychmiast. A łajdak!

— Jakto wyzwać? Na pojedynek?! — wrzasnąłem olśniony.

— Na pojedynek. Ja albo on. Wszystko już obmyśliłem. Ściągniemy pistolet Wróblewskiemu z nad łóżka. Ten stary. Idź w tej chwili. Niech sobie wybierze sekundanta...

Nie pisnąłem już ani słowa. Byłem oczarowany, zachwycony do gruntu. Prawdziwy pojedynek. Taka gratka. Mówi się potem kolegom w klasie: „Kiedy sekundowałem w ostatnim pojedynku"... Ba! ba! Niewiele już pytając, puściłem się do Wacka całym pędem.

http://rcin.org.pl

Siedział w stajni z guzem na czole, ale z miną, jak zwykle, wesołą i bezczelną. Gryzł słomkę w zębach i ledwie na mnie spojrzał.

— Czego chcesz, szczeniaku?

— Przychodzę od Janka. Wyzywa cię na pojedynek. Na pistolety — rzekłem uroczyście.

Wyjął słomkę z ust i przyglądał mi się chwilę. Potem słomką wyrysował sobie kilkakrotnie, a znacząco kółko na czole.

— Kręćka masz, ośle?

Zmieszałem się okropnie.

— Słyszysz przecie, że cię wyzywam. Od Janka.

— Słyszę.

— Żebyś sobie wybrał sekundanta.

— Nie zwarjowałem.

Aż oddech straciłem z osłupienia. Taka niespodzianka!

— Więc nie będziesz się pojedynkował?

— Ani myślę.

— To jesteś niehonorowy.

— Jestem.

— A on cię i tak zastrzeli.

— Niech sprobuje.

Zgniewałem się silnie. Bo i co tu gadać? Odstąpiwszy przeto na próg stajni, rzuciłem na pożegnanie z pasją:

— Toś dureń! Wiesz?

I w nogi, nim zeskoczyć zdążył, bo wiedzia-

http://rcin.org.pl

łem, że bije okrutnie i z zamiłowaniem. Ale byłem oburzony i wściekły do głębi serca.

Gdym zdał relację Jankowi, ten zagryzł tylko wargi, nachmurzył się, ale nie rzekł nic. Coś, widać, obmyślał. Ponury był cały dzień okropnie, tembardziej, że Julja, jak na złość, zwracała uwagę tylko na Wacka. Szczególniej przy kolacji kokietowała go w sposób obrzydliwy. Niesmak czułem, patrząc na jej wyzywające uśmieszki i powłóczyste spojrzenia. Paskudztwo! Biedny Janek wił się jak na mękach.

Tylko, że Wacek przyjmował te awanse dość obojętnie. Z pewnem nawet roztargnieniem. Widać było, iż i ten coś sobie zamyśla.

Jakoż po kolacji, gdym stał koło płotu w ogrodzie, usłyszałem nagle jego wezwanie:

— Julek!

Dałem susa za płot w jednej chwili.

— Julek! Czego się boisz? Nie ruszę! Chodź!

— A jakże! — myślę sobie. — Gadaj zdrów!

Nie rzekłem ani słowa.

— Julek! Ja o ten pojedynek. Zgadzam się.

— A jakże!

— Naprawdę się zgadzam. Tylko pod warunkiem.

— Jakim?

— Że mi zapłaci. Chcę piętnaście rubli.

Osłupiałem. Ten Wacek miał pomysły!

— Będziesz się pojedynkował za pieniądze?

— Aha! Potrzeba mi, uważasz. Mam interesa.

http://rcin.org.pl

— Łżesz!...

— Co mam łgać?! Kodaka mi sprzedają.

— Nie wierzę.

— A to osioł! Czy proszę, żebyś wierzył? Idź tylko do Janka i powtórz.

— Najpierw odejdź...

— Idę, idę... Będę czekał pod śpichrzem.

Oddalił się istotnie. Z niepewnością w sercu ruszyłem do Janka. Ku memu zdumieniu zgodził się natychmiast: aż mu skry w oczach stanęły. Uważał tylko, że drogo. Poszedłem znowu do Wacka. Targ w targ — stanęło na ośmiu rublach.

Nazajutrz od samego rana byliśmy z Tadkiem w siódmych potach. Ściągnęliśmy pistolet, zdobyliśmy naboje do fuzji (dla wydobycia prochu i kapiszonów), w braku kul ukradliśmy polowemu łoſtki, któremi wściekłe psy strzelał, wystrugaliśmy zatyczkę, wydostali pakuł... Tylko nabijać nikt dobrze nie umiał, ani wiedział, ile trzeba sypać prochu. Wacek się zajął próbami, bo Janek dał tylko pogardliwą odpowiedź: „Kiedy mu płacę, to niech robi“... Po długich debatach Wacek stanął wreszcie nad torfowiskami w pozie bohaterskiej i strzelił. Boże, jak huknęło! Aż czatujący na torſie Tadek przysiadł ze zgrozy.

— O miarkę albo dwie zadużo prochu — mruknął Wacek.

Poczem wróciliśmy zaraz do domu różnemi drogami, bo chyba i w niebie strzał ten było

http://rcin.org.pl

słychać. Należało zresztą zawiesić pistolet na miejscu, nim pan Wróblewski wróci z pola.

Właściwy pojedynek odbył się po obiedzie, coś koło trzeciej. Po nabiciu pistoletu Janek ostentacyjnie wręczył Tadkowi, sekundantowi przeciwnika, umówioną sumę. Wacek nastawał o to wyraźnie.

— Ma być honor, niech będzie honor — mówił.

Przeciwnicy rozebrali się do koszul, żeby nie zniszczyć mundurów; ja odmierzyłem susami dziesięć kroków nad torfowiskiem, poczem Tadek pociągnął węzełki, kto ma pierwszy strzelać. Wypadło na Wacka.

Z nieba lał się srogi żar lipcowy. W czarnej po torfowych stawach wodzie rozżarzone słońce odbijało się przeraźliwie. Usunąłem się dla pewności za kupę torfu. Czekałem. Janek stanął jak posąg.

Huknęło! Jezu, jak huknęło! Co psiakrew za maszyna, taki pistolet!

I nic. Zupełnie nic. Janek zeszedł tylko ze stanowiska i powiedział:

— No, teraz ja.

Łatwo powiedzieć! Przedtem trzeba nabić taką armatę. Miałem wrażenie, że Wacek własną śmierć nabija w tę lufę.

Zły był, jak pies. Skończyliśmy wreszcie. Stanęli znowu. My za torfem.

Czekamy, czekamy. Janek wciąż mierzy. Czekamy. Znowu nic. Mierzy.

http://rcin.org.pl

Widziałem jak Wacek poruszył się ze złością, splunął i rzekł dobitnie:

— Świnia.

Wtedy gruchnęło właśnie. I zaraz Wacek upadł na ziemię w tył, jak zdmuchnięty.

Jezus, Marja!... Rzuciliśmy się do niego z Tadkiem: a tu już całe ramię koszuli we krwi. Jak nie rykniemy obaj:

— Wacek! Bój się Boga! Wacek!

A on w tej chwili właśnie usiadł najspokojniej i mówi do płaczącego Tadka:

— Pieniądze tu kładź! Do kieszeni! Dawaj!

Wstał zaraz i jął drzeć koszulę dla zatamowania płynącej krwi. Janek rzucił na to pistolet, odwrócił się i poszedł. My ruszyliśmy za nim wraz z Wackiem, który opędzał się od nas z wściekłością.

Czas był najwyższy. Nie uszliśmy kilkuset kroków, gdyśmy dojrzeli pędzącego ku nam pana Lisikiewicza z malcami.

— Co wy tu wyprawiacie! — wrzeszczał. — Wacek, coś ty znowu?!... Skąd ta krew?

— Z nosa — zgrzytnął zębami Wacek.

Ból i upływ krwi zaczęły go, widać, dojmować nie na żarty, bo zbladł raptownie i dość chętnie wsparł się na Lisikiewiczu. Doszliśmy do domu, jak istny pochód katowski. Skrwawiona ofiara, podpierający ją pachołkowie, Tadek z przewieszonym przez ramię mundurem, malcy z przodu i z tyłu, jako ciekawa gawiedź uliczna...

http://rcin.org.pl

W domu był gwałt i larum. Pędzące przodem sztafety niosły wieści przesadne i fałszywe. Panna Łucja zemdlała. Stryjenka była blada jak trup. Juljetka zalewała się łzami na kanapie, wrzeszcząc coś dzikim głosem. Piekło. Posłano galopem po doktora. Pan Wróblewski wrócił z pola i kręcił długie wąsiska w niepewności. Obejrzawszy chorego, mruknął, że nic mu nie będzie. Sprowadzony doktór stwierdził wreszcie, iż Wacek ma porwane kulą mięśnie pod pachą. Przystąpiono do wyjmowania pocisku...

Uspokoiło się wreszcie. Jako, tako. Pozornie raczej. Każdy bowiem myślał swoje o całem zdarzeniu. Wacek utrzymywał z męstwem, iż sam się postrzelił. Przyznał się nawet do „wypożyczenia" pistoletu... Nie uwierzył mu nikt. Dorośli zachowywali złowrogie milczenie. Tadka i mnie nie badano wcale. Tylko pan Wróblewski pogroził nam surowo w przelocie: „Poczekajcie, gałgany!" Janka, gdy wrócił do domu, spotkał rozkaz ciotki udania się na rekolekcje natychmiast. Nie miał się pokazywać na oczy.

I zaraz tegoż jeszcze wieczoru dorośli zebrali się w gabinecie na naradę. Wszystkich nas wykluczono pod grozą srogich kar. Wobec tego Wicek, jako najmniejszy, zaszył się w klomb pod oknem, a Kazia podsłuchiwała wprost przez dziurkę od klucza. Już się ściemniło, gdy zapadł nieoczekiwany werdykt: wyprawić piękną Julję za tydzień do Warszawy.

http://rcin.org.pl

Osłupieliśmy.

Zapanował nastrój ponury. Umilkły spory i kłótnie, cała kolonja zwartym murem stanęła przeciwko dorosłym i ich krzywdzącej decyzji. Po wszystkich kątach ogrodu widać było grupki „naszych" omawiających tę sprawę szeptem, a z wściekłą gestykulacją. Snuto tysiączne projekty oporu, również zuchwałe jak niedorzeczne. Cóż tu bowiem było do zrobienia?

Panna Julja stała chwilę wśród nas przejęta i milcząca. Kiwnęła wreszcie na Kazię i poszły do siebie. Mówiła, że ma migrenę.

W Kazię jakby piorun strzelił. Ona, gruba i niemowna, rzucała się teraz jak wściekła, ona, podpora władzy, stawała teraz okoniem przeciw autorytetom dorosłych. Wysłuchawszy frondujących bredni „średniaków", wzruszyła ramionami i odciągnęła mnie znakiem.

Siedliśmy w ustronnej altance, skupieni i ponurzy wśród zapadłego mroku.

— Słuchaj, Julek! — mówił grubas gorąco, zaglądając mi w same oczy. — Trzeba coś zrobić, bo ona tego nie przeżyje. Mówiła, że się woli otruć. Beczy teraz, jak najęta...

— Ba! — mruknąłem z rezygnacją. — Co tu robić, kiedy i oni nie mają sensu w głowie za grosz.

— Kto oni?

— Ano ci, starzy. Myśmy się przecież pojedynkowali, a oni wylewają Julję. Gdzie sens?

http://rcin.org.pl

Kazia odsunęła się odemnie na moment, sapiąc ze złości.

— To ty naprawdę myślisz, że o wasze głupie pojedynki idzie?

— A o co?

— Ty, głowo barania! Dostalibyście zwyczajnie wały i byłby spokój. Pojedynki im w głowie! Osły!

Zgnębiony byłem i ciekawy.

— No to gadaj, jak wiesz...

— Jakeście nieśli Wacka, to ten plotkarz-gamajda Wicek nie zobaczył dobrze i wpadł do salonu z wrzaskiem, że Janka zabili. A Julja złapała się na to za serce i buch! na kanapę. I w krzyk: „Mojego Janka zabili! Mojego Janka?" Uważasz, „mojego". A mama to sobie przypomniała potem. Rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć? Tylko czego tak ryczała?

— Bo go kocha, głupcze?

— Kogo kocha? Janka?

— Pewno, że nie ciebie!

— Nieprawda!

— To sobie nie wierz!

— Nieprawda! Bo dlaczego wtedy kokietuje Wacka? Oho, dobrze widziałem! Cały wieczór szczerzyła zęby.

Kazia aż głową jęła kiwać z politowania i gniewu.

— Boże, jakie te chłopczyska głupie! To

http://rcin.org.pl

naumyśnie przecież. Żeby Janka bardziej przywiązać. Żeby nie odmienił serca.

— Czego znów nie odmienił? Serca?

— A serca właśnie! Żebyś wiedział! — zaperzyła się nagle. — Co tu zresztą z tobą gadać! Masz jutro powiedzieć Jankowi wprost, że Julja go kocha, i że ma coś wymyślić, żeby było dobrze!... Rozumiesz? A gdyby nie wierzył, to Julja da ci karteczkę, żebyś oddał!... No!

— Ciekawym tylko, co on może wymyślić...— bąknąłem z powątpiewaniem.

— Od tego jest mężczyzną, żeby wymyślił — stwierdziła surowo.

— Phi!...

— Pewnie, że gdyby trafiła na takie ciepłe kluski, jak ty...

Miałem już dość tych kpinek.

— Kaźka! — wrzasnąłem groźnie.

Ona wstała natychmiast.

— Dobrze! Dobrze! Nie wściekaj się. I takeś najmądrzejszy z tych kapuścianych łbów!

— Ach, ty, grubasie nędzny! Skarżypyto!

Udałem tylko pogoń tupaniem, bo wcale mi nie walka była w głowie. Byłem przejęty do cna i na poważno. Wyznanie Kazi o miłości do Janka, takiej prawdziwej, nie „na niby" miłości, otwarło przedemną nowe i cudne horyzonty. „Nie przeżyje... otruje się... boi się, że odmieni serce" — powtarzałem sobie z upojeniem. Zupełnie jak w powieści, a przecież naprawdę!

http://rcin.org.pl

Byłem wprost oszołomiony. Nie dziwiłem się już wcale, że spotkało to właśnie Janka, a nie mnie naprzykład; nie miałem żadnej pewności, czy potrafiłbym się nawet odpowiednio zachować... Może i lepiej, że się jemu zdarzyło... Dużo lepiej. I tak ciekawe wiedzieć o tem, a mniej kłopotu...

Nazajutrz, przed śniadaniem jeszcze, siedziałem na topoli, dotykającej prawie Jankowego okna na pierwszem piętrze. Ukryty pośród szeleszczących liści zwierzałem mu grubym szeptem wypadki wczorajszego dnia. Że Wackowi wyjęto loftkę i że się obudził bez gorączki; że Julja ma jechać za tydzień, że obiecała się otruć, bo...

— Zwarjowałeś? Co takiego? Otruć się?

— Bo cię kocha, rozumiesz? — pisnąłem z triumfem.

Janek zbladł na papier, a łoskot jego serca usłyszałem aż na swej topoli. Zaraz też odwrócił się i poszedł w głąb pokoju. Stał tam tyłem do okna dość długo. Poczem spytał tylko:

— Nie łżesz?

Huknąłem się w piersi.

— Jak Boga najszczerzej kocham. Kazała ci to powiedzieć... I masz tu kartkę od niej. Nie czytałem, nie bój się...

— Dawaj. Dziękuję ci. I idź teraz do djabła. Przyjdź przed obiadem. Muszę się namyślić.

Gdym za kilka godzin znowu wlazł na topolę,

http://rcin.org.pl

Janek czekał już na mnie. Był spokojny i bardzo poważny.

— Słuchaj, Julek. Już wszystko wiem. Ona nie pojedzie za tydzień i nie pojedzie sama. Pojedziemy w niedzielę razem.

Ledwiem z topoli nie spadł.

— Jakto razem? Dokąd pojedziecie?

— Do Warszawy, czy do Łodzi... Tam weźmiemy ślub.

We łbie mi się mąciło. Co się tu dzieje? Zupełnie jak w „Trzech muszkieterach". To pojedynek, to porwanie!... Boże, jakież to wszystko piękne!

— Więc ją porywasz?! — wrzasnąłem w zachwycie.

— Nie krzycz, głupi! W niedzielę, jak wszyscy pojadą do kościoła, niech ona zostanie. Niech uda chorą. Zostań i ty. Namów Wojtka, żeby fornalską parę zaprzągł potem do starej bryczki. Obiecasz mu rubla. Grunt — pieniądze. Ja mam jeszcze dwadzieścia rubli, musisz wydostać więcej. Może Wacek pożyczy te osiem, to mu oddam dziesięć. Kaźka też musi coś mieć... Dziś piątek, masz półtora dnia... Zrobisz wszystko?

— Zrobię — mruknąłem z przejęciem.

Gadał jeszcze coś do mnie, dawał instrukcje, ale niewiele mi z tego w głowie zostało. Co za historje?! Co za sprawy?! Ba! Ba!

Obiad jadłem jak we śnie. Byłem tak ponury z przejęcia, że stryjenka chciała mi gorączkę

http://rcin.org.pl

mierzyć. Czułem ciągle na twarzy niespokojne oczy Juljetki i Kazi.

Gdy koło czwartej, szczęśliwie uniknąwszy natręctwa pana Lisikiewicza, znaleźliśmy się wreszcie sam na sam z temi paniami, eksplodowałem moją nowiną jak bomba.

Wrażenie było kolosalne. Obie zaniemówiły na dłuższą chwilę.

Wreszcie Kazia nie wytrzymała.

— A widzisz, że prawdziwy mężczyzna zawsze coś wymyśli!

Panna Julja spytała krótko, czy mam list. Miałem, rozumie się, całe cztery strony. Odwróciwszy się od nas, jęła go czytać bez końca. Gdy doszła do ostatniej kartki, zaczynała znowu od pierwszej. Jakżeto długo trwało! Ażeśmy się z Kaźką znudzili na śmierć. Juljetce zaś promieniała teraz buzia jak słońce. Zgodziła się na wszystko i bezwstydnie kazała mi Janka ucałować. (Była taka sama warjatka, jak my wszyscy).

Odrazu też rozwinęliśmy właściwą nam energję. Wciągnęliśmy do spisku i Tadka, jako, że był honorowy i najbliżej się przyjaźnił z Wojtkiem ze stajni. Przejęcie Tadka dla sprawy zdumiało nas samych. Zaraz oddał jedyne dwa ruble, jakie miał, i pobiegł szukać Wojtka z paczką własnych papierosów, jako zadatkiem. Kazia rozbiła swoją skarbonkę, gdzie było pięć rubli w złocie i ze cztery drobniakami. Julja miała koło piętnastu.

http://rcin.org.pl

Poszedłem do Wacka. Leżał jak król, obstawiony talerzami ze wszystkich stron. Niesłychaną wiadomość przyjął z pogardliwą obojętnością. Odrazu sięgnął pod poduszkę.

— Masz! — mówił, krzywiąc się z bólu. — I nie chcę jego głupich procentów. Mają robić głupstwa, niech robią.

— Dajesz całe osiem? Nic sobie nie zostawisz?

— E! — mruknął. — Myślę, że mi się nie opłacił ten pojedynek. Boli, jak djabli! I do Kodaka też się rozmyśliłem... Kiepska marka.

Zdziwiłem się, że o Julji nie wspomniał ani słowem. Rzekłem coś nawet w tym sensie.

Wzruszył jednem ramieniem.

— Julja? Toś ty, głupi, myślał, że mi co na niej zależy? Ani tyle! Ja tylko na złość Jankowi. Bo i co taka Julja! Drobne to, chude — kupka gnatków i szklanka wody, ot, cała wasza Julja! Ja lubię, uważasz, kobiety obsadziste...

Słuchałem tego cynizmu z niesmakiem, alem pieniądze wziął. Mieliśmy już około pięćdziesięciu rubli — majątek. Finansowe powodzenie wyprawy było zapewnione. A że i Wojtek dał się przekupić, szło więc wszystko jak z płatka.

W niedzielę Julja od samego rana miała migrenę, a ja zasiadłem na swej gruszy z papierosem i tomikiem „Muszkieterów". Biegano i hukano za mną po całej okolicy bezskutecznie. Słyszałem już ze swego ukrycia niecierpliwe tupanie koni przed gankiem. Kiedyż ruszą wresz-

http://rcin.org.pl

cie? Dowiedziałem się później, że całej sprawy o mało nie zepsuł — Tadek. Lękając się upału, włożył bestja, kamasze, wprost na bose stopy. Już siedząc w powozie, stryjenka zauważyła jego kosmate i przybrudne nożyska nad cholewkami. Gwałtu! Już namyślano się chwilę, czy nie wziąć Janka na jego miejsce, ale Tadek udał rozpacz i obuł się w „dwa pacierze". Pojechali.

A zaraz potem ruszyliśmy i my. Julja, Janek, dwie walizki, i ja za furmana. Julja czerwona jak rak. Nie mówiliśmy do siebie przez drogę ani słowa. Gnałem tylko chabety jak cudze. Zdążyliśmy na łódzki pociąg.

Gdym zobaczył zdumione oczy znajomego tragarza i cały ten tłumek obcych ludzi na stacji, zaczęło mi być jakoś markotno. Janek był ponury i rozporządzał się z wielkim hałasem. Julja nie mówiła nic. Pożegnałem ich ze ściśniętem sercem.

Wracając do Dankowa, rozmyślałem nad tem, czy aby się naprawdę głupstwo nie stało. Przypomniało mi się, że Kazia mówiła coś o metrykach do ślubu... Czy aby Janek ma metrykę przy sobie? Moja jest przecież w szkole, więc pewnie i jego także... Tam, do djabła! A przecie podróżować tak bez ślubu, to mogą już chyba tylko zupełnie dorośli... Zgniewałem się na Janka silnie! Żeby choć był maturę zdał, idjota!

Wojtek przyjął mnie wcale opryskliwie.

http://rcin.org.pl

— Rety! Ale mi panicz koniska na nic zegnał!

Co było gadać? Dałem mu rubla i poszedłem. Mierził mnie pusty dom, mierził pusty ogród. Możnaby zajść do Wacka, ale będzie kpił znowu. O losie! Ciarki mnie przechodziły na myśl, że stryjenka wróci. Brr! Wziąłem więc swoich „Muszkieterów" — i na gruszę. „Do widzenia! Możecie szukać! Sam nie zlezę!" — zaprzysiągłem uroczyście.

Ale nie obliczyłem się z siłami. Takiego piekła w Dankowie jeszcze nie było! Jakby powściekali się wszyscy po powrocie z kościoła. Krzyki, płacze, nawoływania! Słyszałem jak Wojtek brał na podwórzu wnyki od pana Wróblewskiego... Słyszałem jęki panny Łucji. Pan Lisikiewicz wrzeszczał za mną po ogrodzie, aż uszy puchły. Zaprzęgano znowu konie. Malcy biegali, jak szaleńcy. O obiedzie nie było mowy. Wreszcie usłyszałem bek Kazi! Boże, jak to dziewczysko ryczało!

— Julek! Julek! Wyłaź! Wyłaź-że zaraz! Mój Julku! Oo!

To mnie dobiło! Jeśli ona tak ryczy!...

Zlazłem pośpiesznie i poszedłem z męstwem naprzeciw.

— Kaźka! Czego się drzesz?!

— O, Julek! Idź zaraz! Jak mama mi nagadała! Oo! Idź! Powiedz, gdzie pojechali!

— Do Łodzi? Sama powiedz.

http://rcin.org.pl

— Nie, idź ty! Oo!

Stryjenkę zastałem spłakaną w saloniku przy stole.

— Tyś odwoził? (ledwie wymówić mogła).

— Ja — rzekłem ponuro.

Przyciągnęła mnie do siebie i jęła gładzić po włosach.

— Julek! Słuchaj, dziecko! Przecież ci u mnie było dobrze! Powiedz, dokąd pojechali! Trzeba ich dziś złapać, przed wieczorem, to takie ważne. Powiedz, dziecko!

I ja ryknąłem, jak bawół.

— Do Łodzi, stryjenko — plotłem przez łzy. — Ale oni się przecież pobiorą. Tylko ta metryka...

— Do Łodzi? Dzięki Bogu. Jakie się tam pobiorą, głuptasie! A Julka to wnuczka jeszcze mojej nauczycielki... Co wy ze mną wyrabiacie, chłopaki!

Za godzinę stryjenka jechała już do Łodzi z Lisikiewiczem i Wróblewskim. Na drugi dzień zaraz wrócił pan Wróblewski w niezłym humorze! Zawołał mnie do siebie i wyciął takie lanie, jak nigdy. Nie protestowałem, choć zdawało mi się, że korzysta z nieobecności stryjenki. Byłem głęboko nieszczęśliwy. Wszyscy unikali mnie jak zapowietrzonego, a Wacek wykpiwał w sposób nieprzystojny. Z Kazią nie gadaliśmy wcale.

Rzekła mi tylko:

— Mężczyzna powinien mieć rozum.

Po kilku dniach wróciła i stryjenka z panem

http://rcin.org.pl

Lisikiewiczem. Nie przywieźli ani Julji, ani Janka.

W parę dopiero miesięcy dowiedziałem się z ust Janka, że owo porwanie skończyło się tegoż jeszcze wieczora. Lisikiewicz wyszukał ich o dziewiątej w podrzędnej jadłodajni na Piotrkowskiej. Julja dostała spazmów. Zaraz na drugi dzień wyprawiono ją do Francji. Sam Janek z ramienia matki osiadł w Warszawie na stancji u znanego z surowości profesora.

— — — — — — — — — — — —

Sprawa miała inny jeszcze epilog, zupełnie już nieoczekiwany.

Po jakimś bowiem czasie kolonja poprawcza szczególną logiką doszła do wniosku, że właściwie winny wszystkiemu plotki panny Łucji, i, oczywiście, pan Lisikiewicz, korepetytor. Akurat przyjechali z wizytą do Dankowa na tandemie kuzyni Borowscy z łowickiej szkoły realnej. W tym czasie dojrzały właśnie papierówki i ogólna chęć zemsty.

Po krótkich naradach ściągnięto, co się dało, ze strojów panny Łucji i pana Lisikiewicza. A tegoż jeszcze dnia wszyscy przejeżdżający łódzką szosą i bocznemi drogami mogli widzieć o zmroku gospodynię i korepetytora, jak w czułem têtе a têtе walili w przestrzeń na tandemie... Prowadził chudy Tadek w znanym kapeluszu z kwiatami.

Był to skandal na pięć mil w okolicy.

http://rcin.org.pl

ALTRUISTA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Koledzy z biura pocztowego mawiali zwykle o Łaszczkiewiczu: „Fujara, bo fujara, ale chłopisko zacne z kościami". Dodawano czasem „poczciwy", na co Łaszczkiewicz krzywił się jednak nieznacznie. Komu bo tu mówić o rozumach? Czy który z nich przewertował całe „Bez dogmatu"? Ale tak od deski do deski, bez opuszczań? Pożal się, Boże... Myśląc o tem, Łaszczkiewicz wzruszał nawet ramionami.

Nie, żeby go pycha rozdymała, nie! — tylko inaczej rozumiał te rzeczy i koniec. Jego „zacność" i „poczciwość", wynikające w ich mniemaniu ze zwykłego niedołęstwa, były właściwie skutkiem owej subtelnej dobroci, co, według Łaszczkiewicza, powinna zdobić każdego prawdziwego człowieka. Weźmy przykład. Z zasady nie nalegał o zwrot pożyczek, więc niejednokrotnie zdarzało mu się spostrzec, jak pożyczający z góry już łypał oczyma w stronę kolegów, w znaczeniu: „tom ci fujarę naciągnął!" Było mu wówczas przykro, ciężko nawet — lecz czyż dlatego miał napastować ordynarnie, może wymyślać, jak inni? O nie! Łaszczkiewicz cenił się na to zbyt wysoko!

http://rcin.org.pl

„Być człowiekiem!" — ta idea rozjaśniała jego szare życie, niby źródło spokojnej radości. Nie zastanawiał się nigdy nad zawartością maksymy, bo i poco? To trzeba czuć, nie rozumieć. Łaszczkiewicz brzydził się świństwem z równą naturalnością, z jaką unikał koleżeńskich hulanek i wesołych jazd do „tych domów". Mimo dwudziestu dwu lat był skromny, samotny i dobry, dobry przedewszystkiem. Gdyby nie bojaźń szumnych słów, możnaby rzec—szlachetny. Wszelka krzywda rozrzewniała go do łez prawie, niesienie zaś pomocy bliźnim sprawiało mu rozkosz, podobną do zamiejskich spacerów w słoneczne dni wiosenne. Gdy podczas spóźnionego z nich powrotu zaczepiały go w ciemnych uliczkach blade — z krwistemi od różu i suchot policzkami — dziewczęta publiczne, w jego przepełnione szczęściem serce wdzierała się litość strumieniem gorącym i silnym, jakby po usunięciu śluz głębokiego stawu. Zrozumieć wprost nie mógł, skąd biorą się ludzie, co czyhają na nie w zaułkach, przemycając się chyłkiem, z podniesionemi kołnierzami palt, jakby zawstydzeni własną podłością. Płatna miłość! Brr! Łaszczkiewicz trząsł się z żalu i oburzenia. Już za siebie to może ręczyć!... o, nie, nie! — za nic! Przeciwnie! Walczyć z tą hańbą każdej chwili, wyrwać jej choć jedną ofiarę! Tak łatwo przecież...

Choćby i ostatnio.

http://rcin.org.pl

Siedzi sobie kiedyś w nędznej garkuchni, czekając na obiad, samotny i rozmarzony, jak zawsze. Wokoło szczęk łyżek o talerze, łomoty biegającej służby, wściekły bas gospodarza, codzienne, tanie dowcipy... Jeden z kolegów woła doń przez całą salę, wymachuje rękoma — Łaszczkiewicz nie słyszy. Raptem trącił go ktoś w ramię... „Panie"... Odwraca się niechętnie... i odrazu jest na nogach, spłoniony, drżący, jak panienka. Stoi przed nim dziewczyna z „gorącemi ustami". Tak, tak... przypomina sobie własne nieśmiałe łyski oczu z nad talerza, jakiemi zbierał okruchy jej urody, gdy śmiała się w drugim końcu sali głośno, zalotnie. I jeszcze wspomnienie nagłego ucisku serca, jakby przestrachu, gdy ją spotkał niespodzianie na ulicy. Tak. Ona. Stoi teraz przed nim wspaniała, o wypukłej piersi i wargach z płonącego rubinu. Łaszczkiewicz nie widzi ust, bo spojrzeć nie śmie, lecz wie o nich... Och, jak wie! Dlatego pewnie nie rozumie, o czem doń mówią. Mówią zaś ordynarnie, z wyrazem niedbałej prośby.

— Panie śliczny! Możeby pan kupił kartę, co?

— Kartę?... Jaką kartę?...

— O, sam kwiat! Jak Bozię kocham, ręcznie malowana! Do panny napisać, czy jak... No, panie!... Tylko czterdzieści groszy, dla pana taniej...

Łaszczkiewicz bierze coś do ręki i ogląda, lecz nie kartę, tylko toczone, cienkie w kostce

Fundacji im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów
http://rcin.org.pl

nogi dziewczyny, widoczne z pod za krótkiej sukni. Krew wali mu w skroniach, jak dzwon. Chwila się dłuży.

— Niby weźmie pan, czy nie? Bo ja nie stójkowy, żebym stała godzinę... No?

Głos dziewczyny twardnieje. Łaszczkiewicz wznosi nagle oczy, odbija się od pogardliwego spojrzenia, przez moment zwisa na ustach — i grzęźnie z kretesem. Ledwie go można zrozumieć:

— Wezmę... naturalnie, że wezmę... Zaraz... Ile to panienka chciała?

Drżącemi palcami mozolnie wyszukuje odłożonego rubla, „tego, co to na mieszkanie". Położył go lękliwie na rogu stołu.

— Fiu! Bogato! Aż nie mam co wydać...

— Nie... proszę wziąć całego... bez reszty.

Teraz już przymurował oczy do podłogi. Nie oderwie ich za nic!

— Ano — brać, to brać! Dziękuję.

Zezem tylko widzi dużą, lecz białą dłoń, jak sięga ku stołowi.

— Do wesołego widzenia!

Kłania się w przestrzeń. Odeszła. Uff! Łaszczkiewicz siada ciężko, a serce łomoce w nim gwałtownie, jak po ogromnem zmęczeniu. Nie rozumie coprawda, skąd to nagłe zdenerwowanie, ale mimo wszystko jest kontent. Ogarnia go miękka rzewność: dobrze, bardzo dobrze się stało, iż dał więcej. Taka biedna dziewczyna!...

http://rcin.org.pl

żyć ze sprzedaży głupich kart!... Nie codzień trafi się nadwyżka, a jak czasem zbraknie, co wtedy? Myśl o „wtedy" Łaszczkiewicz odpycha z niechęcią.

Najciekawsze, że mu wcale nie żal tego rubla. Tak się to mówi: „wielki mi pieniądz — rubel", ale mając ich trzydzieści na miesiąc, trudno udawać Rotszylda. Jak bieda przyciśnie, to i złotówki nie wyssie z palca — wiadomo.

Żeby się choć puszył, chełpił przed kim!... Ale nie. Jeśli myślał o dziewczynie, to dlatego tylko, iż spotykali się przy obiedzie. Wchodząc do garkuchni, Łaszczkiewicz wyszukiwał ją oczyma i giął się w głębokim, poważnym ukłonie. Znaczyło to: „widzisz, szanuję cię jeszcze bardziej"... Giest wydał mu się pański i polubił go, jak polubił otrzymywany wzamian uśmiech. Różane, wilgotne usta rozchylają się, niby nabrzmiałe sokiem pąki, tworząc w kącikach dołeczki, pełne rozkoszy. Właściwie nie jest to nawet uśmiech... błysk prędzej, coś takiego... Podobne uśmiechy mogłaby mieć chyba brzoskwinia, wogóle jakaś rzecz słodka i pachnąca. Dość, że dostawał od nich zawrotów głowy, a kiedyś zdarzyło mu się medytować pół godziny nad przypuszczalnem tajnem ich znaczeniem. Może to znak jaki? symbol? Kto wie? Rezultat badań musiał wypaść pomyślnie, bo Łaszczkiewicz resztę dnia chodził z rękami w kieszeniach, pogwizdując.

http://rcin.org.pl

Nie brał zresztą tych drobiazgów poważnie, skąd znowu... Ot, rozrywka, nic więcej. Dopiero, gdy dziewczyna nie przyszła kiedyś i wyczekiwał na nią daremnie długie chwile, zdumiała go nagła w życiu pustka. Jakby mu wydarto coś najdroższego... Zaniepokoił się. Co takiego? Czyżby?... Nie, nie, Łaszczkiewicz nie dopuszczał nawet myśli o zakochaniu! Weźmie się „w kupę" — i da radę takim głupstwom! Oho! Żeby tak tracić głowę dla każdej niebrzydkiej dziewczyny! Pasował się z sobą walecznie, szukając wspomnień brzydkich i niegodnych, coby mu ułatwiły zerwanie... Ostatecznie myślał o niej cały czas, a serce żarła mu troska. Nie przyszła nazajutrz, ani na trzeci dzień, ani za tydzień... Łaszczkiewicz prawie już nią gardził — i znowu jej nie było... Może nigdy nie przyjdzie? Ach, długie ma troska ręce i żelazne zęby!...

Przyszła wreszcie. Przyszła nawet do Łaszczkiewicza — „pożyczyć" jeszcze rubla. Rozbłysła przytem tak szczerą ordynarnością, rozwinęła taką „od kuchennych schodów" zalotność, że Łaszczkiewicz otrząsnął się z niesmakiem. Brr! To go uleczy z pewnością! Bo, że halka brudna, buciki powykręcane... no! — ale dusza, dusza!... Rubla, rozumie się, dał, poprzestając jednak odtąd na ukłonach, pełnych bolesnej pogardy, lekkich, prawie żadnych.

Wkrótce znikła znowu, tym razem już na dłu-

http://rcin.org.pl

żej. Łaszczkiewicz ucieszył się początkowo. „Phi! baba z wozu, koniom lżej" — myślał dumnie. Najniesłuszniej zresztą. Teraz dopiero zaczęły się dlań dnie, podobne do błotnistej drogi jesiennej: dnie wśród opryskliwych rzutów, niby wyboi, i zapamiętań żałosnych, jak roztopy, dnie szare i długie, długie bez końca. Przestał rozumieć sam siebie. Ku własnemu wstydowi wspominał swoje marzenia o „niej", o tej nieznanej, jasnej i subtelnej, co kiedyś, w godzinę szczęścia, miała zejść doń różowemi kroki. A tu naraz... On, którego wszelkie plugastwo mierzi, który chce być „innym" za wszelką cenę, on, Łaszczkiewicz, dla jakiejś tam lafiryndy!... Pochylony nad biurowym stołem, zamyślał się ponuro, bez odpowiedzi.

A te noce, te noce okropne! Wraz ze zgaszeniem lampy stawała przed nim słodka, kusząca, pełna uśmiechów i cichych słów, naciągających nerwy, jak metalowe nici. Czuł ją przy sobie gorącą, o ramionach prężnych i pachnących, o biodrach krągłych i gładkich, jak atłasowe konchy. Żadnych sukien, płacht żadnych, nic, nic! — tylko przepych piersi rozkwitłych, drżących... och! Zwykle w ciemności Łaszczkiewicz siadał na łóżku i, objąwszy rękami chuderlawe kolana, klął głucho: „Psiakrew! A niech to djabli!"... Zrozpaczony, sprawił sobie prysznic pokojowy i unikał mięsa na kolację.

Nie pomogło. Wówczas począł jej szukać. Całemi wieczorami tłukł się gorączkowo po mie-

http://rcin.org.pl

ście, godzinami wystawał w pobliżu garkuchni, błądził, jak pies zgubiony, bez nadziei, bez planu... Wiódł z nią wtedy jakieś niewysłowione rozmowy, snuł ciche poema tęsknoty... Aż spotkało go szczęście w obrzydłym mroku deszczowego dnia, kiedy gazowe latarnie w ulicy są niby żółte gromniczne aleje. Błysk twarzy, jak olśnienie. Łaszczkiewicz złożył ukłon radosny, pokorny, bez gestu, na który ledwie mu odpowiedziano. Nie podszedł. Ściął tylko zęby, a w jego zmartwiałych oczach stanęły dwie wielkie, dziecinne łzy. Sechł odtąd i trawił się zwolna, jak zapomniana świeca.

I znowu, gdy już spodziewać się lękał, stanęła przed nim w garkuchni, bledsza jakby, z oczyma niespokojnemi troską.

— Panie! Panie ładny! Znajdzie pan tam jeszcze z rubelka?

Ledwie wymiamlał zbielałemi usty:

— Panienka tutaj?... Rubla?

— A właśnie, właśnie — rubla!

— Zaraz... Tylko że nie mam przy sobie...

— Więc jak niby? Bo mnie przypiliło na gwałt. No, panie...

Trącała go lekko kolanem, patrząc przyzwalająco, nawet z uśmiechem.

— A może panienka do mnie przyjdzie?... Za rogiem, bliziutko...

Minę miał tak przerażoną, iż parsknęła mu w nos.

http://rcin.org.pl

— Przyjdzie panienka, przyjdzie!... Tylko się pilnować, żebym nie czekała!

Łaszczkiewicz skłamał. Stało się podobnie, jakby ktoś, wiedząc o pieniądzach w kieszeni, jednocześnie o nich zapomniał. Bez premedytacji — tegoby Łaszczkiewicz nie potrafił nawet. Poprostu opanowała go nagle myśl, silniejsza od wszystkich rozumowań—i skłamał. Co więcej, kpił sobie z całej historji. No, tak, tak — skłamał! I cóż z tego? Inaczej znikłaby znów na całe tygodnie, a on nie może przecież... Cóż szkodzi zresztą zaprosić ją do siebie, porozmawiać pod dachem? Opowie, co się z nim dzieje, wszystko opowie... Skłamał, i właśnie tak jest dobrze! Bo żeby z kim innym, ale on, Łaszczkiewicz!... „Przyjdzie, przyjdzie!" grało w nim do taktu olbrzymich kroków, jakiemi szedł do biura. A tam, między foljałami, przewijały się niemądre wyrazy, w rodzaju: „Moja słodka". Uśmiech — i nic więcej.

Wracając do domu z ładunkiem przeróżnych, a nabytych za ostatni grosz specjałów, Łaszczkiewicz był usposobiony lekkomyślnie. Rozpychając się zwycięsko, zaglądał pod kapelusze spotkanym damom, bez potrzeby, ot, tak sobie — „czy mu to niewolno?" Zobaczywszy nawet w lustrze swą żółtą, piegowatą twarz o rybich oczkach, nie skrzywił się, jak zawsze. Co tam! ujdzie, szczególniej jeśli włożyć najpiękniejszy — ten w groszki — krawat. Wyświeżony, ustawił

http://rcin.org.pl

na szafie lampę z bibułkowym abażurem i, sfałdowawszy troskliwie nowe spodnie, zabrał się do czytania rozdziału encyklopedji Orgelbranda, co zwykł był czynić co dnia. Przerobił już w ten sposób trzy pierwsze tomy, do E. Dziś nie szło mu jakoś. Mył właśnie po raz drugi zimne, jak lód, ręce, gdy dobiegł go szelest ode drzwi i zaraz głośny śmiech.

— Cóż to się pan pucuje, jak na wesele? Co?

Zmieszany, z ręcznikiem w mokrych dłoniach, Łaszczkiewicz międlił coś niezrozumiale. Dziewczyna rozglądała się po pokoju swobodnie, jak u siebie w domu, nie zwracając uwagi na jego nieśmiałe, zachwycone spojrzenia. Co chwila podchodziła do ścian, do mebli, wiedziona dziecinną ciekawością.

— Wie pan, wcale mi się tu podoba... Tyle obrazków, aż tapety nie widać! A moja karta jest? Ta, co to pan wie... — zaśmiała się — o jest, jest! I światło czerwone, jak u panny... Naprawdę ślicznie...

Łaszczkiewicz rósł. Zaczyna się wyśmienicie, żeby tylko coś powiedzieć, zacząć jakąś rozmowę. Bo wodzić za nią oczyma, jak osioł, nie dosyć — sam czuje. Ale co? Że jej pięknie w tem nowem uczesaniu? Że jej piersi... ba, jej piersi... „I to bez gorsetu"... — konstatował z westchnieniem. — Zresztą nic. Szczęściem spostrzegła zastawione na stole przysmaki.

http://rcin.org.pl

— O, funda! Tak to lubię!... Głodna ci jestem, jak dwa psy! No, panie! nasmarować masłem? Prędzej! Ruszać się! Ostrzej!

Łaszczkiewicz grzecznie wziął pół bułki i kręcił ją w palcach niepewnie. Pochłaniała go myśl o tem, jak wyznać jej mękę ostatnich tygodni, jak wstrząsnąć nią, poruszyć!... Tymczasem wszystkie dawne uczucia zabijała sama jej obecność. Był szczęśliwy — i nie widział na to sposobu. Ona zaś jadła chciwie, miarowo kiwając założoną nogą. W przerwach między kęsami rzucała pytania obojętne, nieciekawe — tak, byle coś mówić.

— Pan pracuje na poczcie?

— Na poczcie.

— A ojciec tu mieszka?

— Nie, umarł.

— To pan sierota... A matka żyje?

— Nie, też umarła.

Zdziwiła się.

— Patrzcie-no... umarła... I na cóż to?

— Tak... Przeziębiła się i umarła.

Znowu zaległo ciężkie milczenie! Uszczypnął się w rękę, raz i drugi... Nic. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Mówić, mówić! Opowiedzieć wszystko, co do joty! Tyle rzeczy... Kopnął się mocno pod stołem. Nic — patrzał w nią tylko, jak w tęczę. Aż, odsunąwszy talerz, spojrzała nań podejrzliwie.

http://rcin.org.pl

— Czego się pan gapi, jak wrona w gnat, co?! Że tak jem niby?!

I podniecona własnem przypuszczeniem ciągnęła w rozdrażnieniu:

— A bom od rana uczciwie nie zjadła! Wie pan teraz?

— Jakto?! Dlaczego?

Łaszczkiewicz przeraził się na dobre. Że też mu do głowy nie przyszło. Głodna! Szukał gorączkowo w szafie, wyciągnął trochę suchej wędliny, lecz ona odrzucała teraz wszystko z niejakim triumfem.

— A gorącego przez tydzień nie widziałam! Tak, panie!

— Dlaczego?! Co się stało?

— Iii... nic! Tylko mój malarz się wściekł i nie daje więcej kart sprzedawać. Nie trzeba, mówi.

Łaszczkiewicz uczuł nagle ostry ból. Jakby drzazga za paznokciem.

— Co za malarz?!

— Taki jeden... On ze mnie obrazy robił.

— Obrazy robił!... Aha...

— Żadne „aha"! Leży już piąty tydzień, ani nóżką nie drygnie!

To głupie serce! Łaszczkiewicz rady sobie dać nie może,

— Cóż mu to?

— Suchoty!... co ma być? Pluje, aż się rozlega.

http://rcin.org.pl

— Doktór panience mówił?

— Pewnie, doktór... Wywalić zaraz rubla, co? Niema! Chciałam sprowadzić... student jeden, nawet familjant — to ten znowu!... „Idź!" — mówi: „idź! Ale nie wracaj... sam zdechnę!" Ledwie to zipie, a będzie zazdrością mordował! Z kartami też... „żebym kogo nie poznała"... Skaranie, nie los!

— To czego panienka przy nim siedzi?

— Bo ja sama wiem? Tak...

Zamyślili się oboje. Łaszczkiewiczowi gorycz ssała piersi nudnie i boleśnie. Otóż i koniec marzeń! Już niema co wyznawać, nic już nie pomoże! Innego kocha... Takie dziwne: kocha innego, który jest zły i chory, a przecież on, Łaszczkiewicz, dla niejby wszystko... wszystko!... Nawet się nie zawstydził tej myśli. Co tam! Znowu nadejdą te okrutne tygodnie beznadziejnej tęsknoty. Od jutra zaraz... wie dobrze, wie! Zgnębiony, nie patrzał już na nią, ani dbał o przeciągnięte milczenie.

— Cóż to pan zaniemówił? Mam iść, czy jak? Ładna zabawa!

Spojrzał jej w oczy żałośnie. Poco dręczy?...

— Nie, nie!... Tylko, że ja panienkę... kocham, więc mi trudno... Trzeba zrozumieć...

Roześmiała się w głos.

— Już kocha?... Piorunem to u pana idzie. Mojeż to... kocha! A czy bardzo?

http://rcin.org.pl

Wstąpiła weń nagła otucha. A może jednak... Zaczął mówić szybko, zachłystując się słowami:

— O, panienka nawet nie wie!... Ja nigdy jeszcze nie kochałem, ja... To wprost straszne, taka męka! Odrazu, przed tą kartą jeszcze... Jak tylko panienkę zobaczyłem... Sypiać teraz nie mogę, ani jeść, nic, nic — tylko o panience myślę... I w biurze, i w domu, i na ulicy... To straszne! straszne!

Zaśmiewała się, stojąc przed lustrem, a on mówił coraz płynniej, goręcej... Nie gniewa się, wcale się nie gniewa! Taka dobra, kochana... To nic, że się śmieje! — siedział przecie, jak mruk, i naraz taka wymowa... Każdegoby rozśmieszyło! Rozumie się!

— No dobrze, właśnie dobrze! Wierzę, że kocha! Tylko czego się napuszył, jak sowa? Ani rozbierze, ani co!

Łaszczkiewicz osłupiał. Lecz już mu siedziała na kolanach, rozbawiona.

— Ano już prędzej! Nuże! Godzinami czekać!

Myśli Łaszczkiewicza buchnęły radością, jak ogniem. „Czekać... rozbierze..." Więc też kocha! Po swojemu, ale kocha! Choć szorstko... Zakotłowała się w nim wszystka krew, a serce jęknęło rozkoszą, jak dzwon. Te piersi, jej piersi... pod ręką! Cała jej postać prężna, gorąca!... Drżącemi palcami jął szukać haftek, guzików, niedbały, czy się rozdziera, nie słysząc jej protestów, byle prędzej, prędzej!... Dzwoniąc zębami, po-

http://rcin.org.pl

derwał ją z nieoczekiwaną siłą i rzucił na łóżko, powolną, jakby oszołomioną tym wybuchem. Słychać już było jedynie rwące, zdyszane oddechy i westchnienia głębokie, jak szczęście.

Po długiej chwili ozwał się cichy, wdzięcznością przepojony głos Łaszczkiewicza:

— Panienko...

— Mańka mi na imię.

— Maniu!... Tak chciałbym co dobrego ci zrobić...

— Dobrze, dobrze!... Nie w usta! Niecierpię, żeby każdy... Masz, tu całuj!

I znowu kiedyś:

— Posłuchaj... Gdybyś zechciała... Mam już trzydzieści rubli na miesiąc.

— To sobie miej, głupi! Że w łóżku, to jużby się żenił... ananas! Spójrz-no lepiej, która godzina?

— Nie, nie... wcześnie! Dopiero ósma.

Zerwała się pośpiesznie, z niezadowoleniem.

— Ładne wcześnie! Tybyś i całą noc leżał, znam was... Teraz mi znowu tamten łeb urwie! Bodaj to!

Wspomnienie o „tamtym" dotknęło Łaszczkiewicza boleśnie. W takiej chwili... No, ale trudno, delikatności nikt jej nie uczył. Nie rzuci go wreszcie... chory przecież... Pytał już tylko nieśmiało:

— Maniu... Przyjdziesz kiedy?

— Zobaczę, zobaczę!... Nie nudź!

http://rcin.org.pl

Brakło mu odwagi nalegać. I tak ją spotka, będzie w tem, oho! Podawał kolejno różne części stroju, które ona brała, nie dziękując w pośpiechu, ani patrząc. Taki już, widać, charakter! Gotowa do wyjścia, tłukła się jeszcze chwilę po pokoju, niby w oczekiwaniu na coś. Burknęła wreszcie:

— A te pieniądze... będą?

— Prawda, prawda! przepraszam...

Że też mógł zapomnieć! Aż wstyd! Szybko, możliwie najprędzej przerzucił kieszenie. O, jest, jest, dzięki Bogu! Tylko czemu ona tak dziwnie patrzy?...

— Cóż to znowu za rubel?

Zdumiał się.

— Jakto?

— No, gdzie się pchasz z rublem, pytam?

Łaszczkiewicz zbladł. Co to?! Czego ona chce?! Czyżby?... Nie, nie! nie może być! To jakieś nieporozumienie! Zaraz, powoli... bez gorączki... Z niemą prośbą w oczach bełkotał jękliwie:

— Poczekaj... Przecież sama w południe... przypomnij sobie...

— Co „sama"? W jakie południe?! I dość tego tykania! Patrzcie go, rubelkiem wywija, cwaniaczek! Nie dasz rady — wyjmij-no jeszcze ze dwa! Myślisz może, żeś na głupią trafił — oho!

Tak, tak! Więc ona za pieniądze! A jemu się

http://rcin.org.pl

zdawało... Boże, Boże! Mówił do niej takie rzeczy!... całą duszę!...

— Ja... ja nawet nie mam dwuch rubli... Ja myślałem...

Poczerwieniała z wściekłości.

— Coś tam myślał? Co?! Toś ty mnie z mańki wziął, szczeniaku?! Do siebie kazał przychodzić — patrzcie-no się — amory rozpowiadał... żeby taniej! A możeś myślał, że ja tak po czwartakach... za rubelka... co?! Albo, że na twoje piegi lecę, na chude gnaty?! Ty, głowo barania!!

Ukrył w dłoniach twarz, jakby się broniąc. Te brudne, plugawe zdania! Co za wstyd! Jaka straszna hańba!

— A nie przynieś mi ty jutro na obiad!... Ja ci pokażę! Kartę za rubla kupił, dobrodziej! Rozpowiem ja koleżkom!... I do biura trafię, żebyś wiedział, kulfonie!! Słyszysz?!

Drżąc, jak w febrze, wyszukał gdzieś ostatnie pół rubla. Wręczał jej zdaleka, ostrożnie, by nie dotknąć.

— Myślisz, że nie wezmę?! Nie bój się, uczciwie zarobione!

Huknęła drzwiami, aż talerze podskoczyły. Łaszczkiewicz stał chwilę, bez ruchu, poczem doszedł do łóżka i zległ twarzą w poduszki.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BAROWSKA

http://rcin.org.pl

Matce mojej

http://rcin.org.pl

Przychodzi wczoraj ta stara jędza Keblowa i mówi sobie niby spokojnie, patrząc w herbatę:

— Chciałabym coś paniusi powiedzieć, ale proszę pannie Wandzi ani słóweczka...

Barowską aż tknęło.

— Co takiego?!

— Nie, nic ważnego... ot, młodość!... tylko Sochacki u nas wieczorkiem długo siaduje.

— I pani dopiero teraz mówi?!

— Kiedy mi panny Wandzi było żal. Takie to ładniuchne, młodziuchne, proszę paniusi... Wczoraj wreszcie słyszałam, jak go w nocy wpuszczała... Pocichuteńku, delikatniusio, żeby mnie niby nie obudzić, ale... he, he... starość ma lekki sen... nie obliczyła się, niebożątko... he, he...

Barowskiej chciałoby się włosy rwać, kiedy sobie ten udanie dobroduszny, zjadliwy śmieszek przypomni.

— Uch, jędza! Że jej Heńka tłucze się gdzieś, we światach, i ruble zbiera, to wszystkieby na ulicę posłała! Niedoczekanie twoje, stary grzybie!

Rozpacz i głucha wściekłość dławi ją od samego rana. Niby to sprząta, jak codzień, niby

http://rcin.org.pl

gospodaruje, a najwięcej włóczy się po mieszkaniu i miętosi w sobie beznadziejne myśli.

Co teraz będzie? Mój ty kochany Boże, co teraz będzie? Tego jednego bała się przez całe życie, jak trądu, nawet myśli nie dopuszczała, żeby można... tak zwyczajnie, bez małżeństwa... jak psy!... A tu rodzona siostra... Oj, Wanda, cóżeś ty najlepszego zrobiła?!

I skąd jej to, skąd? Uczyły ją przecie z matką, przestrzegały. Dziewczyna była, jak łza, a dumna, a zawzięta... żadnych tam koleżanek, żadnego tałałajstwa, fircyków różnych! Nosiła się po ulicach z tą swoją urodą, niby ksiądz z sakramentem — zaczepiać się durnie bali. Zwyczajnie panna z dobrego domu, chyba tylko służącej z tyłu brakło...

I tu naraz... trach! Jak cegłą w łeb! Mój Boże, mój Boże!

Żeby jeszcze lata jej szły, albo o konkurentach ani słychu, żeby z rozpaczy, no... Ale miała takich zacnych, porządnych ludzi, ze stanowiskami, z pieniędzmi, nie byle studencinę! Byłaby panią na całą ulicę, co tam! — na trzy ulice! Jedwabiów, strojów, ile dusza zapragnie, teatry, bale! Ichby też wyciągnęła z tego błota, co już po szyję zalewa... ech! Koniec. Urwały się wszystkie marzenia, już teraz tylko uszy po sobie i śmierci czekać. Taki, widać, pieski los! Niema rady...

Ręce Barowskiej jakby z drewna: każda ro-

http://rcin.org.pl

bota z nich leci! Stanęła u okna i pochlipuje zcicha bez jednej z oczu łzy. Jej sucha, wyniszczona twarz, o czarnych, wiecznie niespokojnych oczkach, ma w sobie coś mysiego; podobieństwo zwiększa się jeszcze wobec niepewnej barwy jakby szarawych włosów, wymykających się kosmykami, bądź całemi pasmami z pod niedbałego uczesania, niby strzępki sierści na wyleniałej skórze. Stanęła i bezmyślnie patrzy na podwórko. Obrzydły deszcz listopadowy, drobny, a bezustanny, zdołał już zamienić jego niebrukowany środek w bajoro, gdzie chlapią się z rozkoszą brudne dzieciaki, zrumienił ślepą ścianę przyległej kamienicy, pokrył wilgotnem szkliwem dachy nędznych oficyn. Z niewielkiej fabryczki sztucznego lodu raz wraz wydobywa się ze świstem strumień pary przy akompanjamencie miarowych, jakby młota, uderzeń.

Ten jednostajny łoskot, nielitościwe wrzaski dzieciarni, tramwajowe dzwonki i huk dorożek z ulicy wtłaczają w duszę jakiś ciężki niepokój, oczekiwanie, że lada moment wedrze się w ów rozszalały harmider krzyk przeraźliwy, co zgłuszy wszelkie inne odgłosy, a potem będzie już tylko gruchot walących się ścian, ciemność, jęki i rozpaczliwe wołania. Tymczasem nieustanny na mózgu ciężar.

Wzrok Barowskiej odwraca się niechętnie od znanego obrazu, przechodzi ponad niskiemi dachami oficyn, wałęsa się po dalszych podwó-

http://rcin.org.pl

rzach i gaśnie: wszędzie te same ślepe ściany, wilgotna blacha, czarna od węgla ziemia, sztywne szeregi kominów i gęste dymy w deszczowej siatce.

— Jak życie, jak moje życie — myśli. — Wieczne łzy, niby ten jesienny deszcz, zgryzoty, owe czady dymne, nad dachami zwisłe, zaduch, brud i ciągły strach przed czemś gorszym jeszcze. Och! ni wytchnienia chwilki, ni odpoczynku!

Widzi się małą dziewczynką wobec groźnego, wiecznie pijanego ojca, gdy w stół pięściami wali i wyklina, a matka w kącie płacze głośno, żałośnie, ów pokoik-norę obok schodów, zawsze pełną gorącej pary, gdzie długiemi godzinami niańczyła Wandę za stosami brudnej bielizny; widzi się podlotkiem, staniczarką z magazynu, o bladej twarzy i znużonych oczach, gdy pędzi przez ulice, nurkując wśród tłumów, popychana, szturchana, aby prędzej, bo to karnawał, komorne zaległo, roboty od rana, a siostra drze się pewnie o kolację. Praca, praca, praca!

— I to była młodość. Jedyne pragnienie — wyspać się, odpocząć; jedyna radość — spacer w Łazienkach latem. Mój ty kochany Boże!

Rozżalone, gorące łzy wymykają się z pod powiek i biegną szybko po wpadłych policzkach. Barowska ociera je machinalnie brudnym fartuchem, wzdychając ciężko.

Albo i to zamęście... Tyle sobie za czasów narzeczeństwa obiecywali, taki raj! Myśleli, że

http://rcin.org.pl

niebo się chyli, cały świat, niby na święto, strojny... A jakże! nie dla nas szczęście, płacz chyba i zgryzoty! Cała radość, jakby słoneczny promień w więziennej pod wieczór celi: chwilkę ręce i twarz popieści, złote iskry we włosach zapali, i już tylko sufit jaśni, ku oknu śpieszy, nim krwią się wreszcie zaleje i skona. A smutek i tęsknota jeszcze zawziętsze później...

Czemu radości tak mało, dlaczego?

Kilka pierwszych miesięcy gorących, niesytych, nieprzytomnych prawie... Taki był dobry: matkę, siostrę do domu wzięli. A po roku już pierwsze dziecko, choroba długa, co urodę skradła, drugie dziecko, znów córka, bezrobocie, bieda, zdrady mężowskie, kłótnie ciągłe, ujadania, w domu niby chmury duszne.

— I tak ciągle, i będzie ciągle... coraz gorzej... Znikąd nadziei ani kropli... Nędza, jak ten pies przy nogach...

Dzwonek.

Barowska przybiera szybko wyraz zwykłej oschłości.

— Może to ona? Chyba nie... zawcześnie... nie, Malewicz przyszedł z uniwersytetu.

Z przedsionka, jednocześnie służącego za kuchnię, dobiega łoskot gniewnie zrzucanych kaloszy i ostry głos:

— Mydliny aż na Krakowskiem cuchną, zaduch w domu od rana do nocy!

http://rcin.org.pl

Starczy kobiecy dyszkant tłumaczy się pokornie:

— Jak to przy praniu zawsze, proszę pana.

— Pranie, pranie! Też, psiakrew, manja szczególna! Od poniedziałku w domu wysiedzieć nie można, teraz piątek — i znowu. Pułki babcia opiera, czy ki djabeł?!

— Przepłókuję koszulki dla dzieci. Mało tego mają, a na pensji o byle co, o najmniejszy pyłek, zaraz kara.

Barowska wsłuchuje się w mruczane już tylko przekleństwa i wzbiera w niej głucha nienawiść.

— Studencik! galant! zgrał się gdzieś na bilardzie i fumy pokazuje! Płaci dwadzieścia rubli za życie i mieszkanie, a mydliny mu szkodzą! Widział to kto?!

Na zdawkowe „dzień dobry" Malewicza odpowiada zaczepnie:

— A no dobry, jak dla kogo. Dla pana, widać, niebardzo, kiedy od rana djabły starym ludziom rzuca!

Student z jadowitym uśmiechem, niby wzdychając ciężko:

— Święta racja! Wszystko brak dworskości, poloru. Ale gdzie nam, biednym chudopachołkom! Łaskawa pani zato, co wyraz, to róża z ust — pachniałoby tu, jak w ogrodzie, żeby nie mydliny. Tek! A więcej nic mi łaskawa pani nie zakomunikuje? Więc nie? Nic? Bardzo, bardzo szczęśliwie.

http://rcin.org.pl

Odchodzi, zgięty w przesadnym ukłonie.

Barowską aż podrywa, żeby mu nawymyślać, ale ogranicza się tylko do wytrząsania pięścią przed zamkniętemi drzwiami. Nakrywając do stołu, wyklina półgłosem:

— Ananasy majowe! Gdyby nie twoje głupie dwadzieścia rubli, oduczyłabym cię kpin, smarku! Ze schodów i won! Nic, szelmy, cały dzień boży nie robią, wyleguje się to do dziesiątej, a później doktory, adwokaty, bodaj was!... Darmozjady, bestje! Takiemu to byle laufrować, dziewczyny na złe naciągać.

Poruszyła w sobie na nowo całą złość. Niecierpliwi ją nawet trwożliwa mina matki, od chwili już czekającej u progu. Rzuca krótkie:

— Matka czego?

— Chciałam... bo widzisz... niedługo Wandzia przyjdzie, więc żebyś nie za ostro... Gniewasz się zaraz, a tu jedynie łagodnością... Bo widzisz...

— Pewnie! łagodnością! Może ją matce zostawić, co? Rozpuściła matka ojca, to z dziewką da sobie radę! Jakbym patrzyła na to... „Wandziunia, Wandeczka, królewna moja“... szelma jedna!

— Tylko proszę cię, Helu...

— Niema o co prosić! Jakem mówiła, że się dziewczyna nie potrzebuje wyprowadzać, że u swoich pewniej, to kto mnie przekonywał? Matka bo zawsze swoje! „Dostała podwyżkę, ciężko

http://rcin.org.pl

pracuje, nie ma dziecko własnego kąta, w alkowie powietrza mało"... Powietrza! Będzie go miała tyle, aż spuchnie, zobaczy matka! Przyjdzie jeszcze bękarty niańczyć... Ale ja ją nauczę rozumu! Poczekaj!

— Helu...

— Helu, Helu!... Wszyscy jęczą po niewczasie, mnie tylko wypada za was myśleć... Dzwoni ktoś! Lepiejby matka otworzyła, bo stół nie nakryty, a jeść to każdy woła!

Jakby słoneczny strumień i ciepły wiatr wiosenny wdarły się do mieszkania hałaśliwe śmiechy i tupotanie nóg dziecięcych. To Barowski, zabrawszy dziewczynki z pensji, kupił po drodze paczkę tanich cukierków i przekomarza się teraz z córkami, udając, że wszystko odda matce. Jego okrągła twarz z dużemi, żółtemi wąsami wyraża serdeczne rozradowanie; podniesiona z łakociami ręka triumfuje nad usiłowaniami wieszających się na niej dziewcząt. Napróżno młodsza, energiczna, pucołowata osoba, musnąwszy po drodze rękę matczyną, przystawia sobie krzesełko i jeździ z nim po pokoju za uciekającym ojcem; nie pomaga i wstawiennictwo przywołanej babki. Krzyki, bieganina, chichoty.

— Czego się wieszacie? Powiedziałem raz!

— Oddaj! Babciu! niech on odda!

— Figa! Wszystko dla matki.

— Oddawaj, nie oszukasz! Mańka, trzepaczką ściągnij!

http://rcin.org.pl

— Patrzcie-no, smarkate! Od ziemi to nie odrosło...

— Mańka, z drugiej strony! Mocno ciągnij! Ha, ha, ha!

— Rękaw! Ostrożnie!

— To oddaj sam! Ha, ha, ha!

Zatykając uszy, Barowska przerywa sucho:

— Nie robilibyście hałasu! Bez tego aż w głowie huczy.

Ożywienie zgasło natychmiast. Barowski siada ciężko przy stole, ocierając pot z czoła kraciastą chustką; dziewczynki milkną, jak przestraszone ptaszki. Starsza, o bladej, matowej cerze, zbliża się do matki i nieśmiało całuje ją w rękę.

— Chcesz czego, dziecko?

— Pani kazała mamusi powiedzieć o wpis. Że już dłużej czekać nie może.

— No dobrze, dobrze... Idź się bawić.

W ponurem zamyśleniu gładzi ją po włosach. Mała przymyka oczy, uśmiechając się cichutko.

Podczas tej rozmowy Barowski najwidoczniej źle się czuje. Milczy chwilę, wreszcie, energicznie przejechawszy ręką po czole, zwraca się do żony, jakby z usprawiedliwieniem:

— Wiesz, ten gruby Malinowski znowu dostał podwyżkę... Daleko zajedzie!

— Malinowski?... A no tak! Każdy dostaje, pieniądze leją się na innych, jak woda, byle rękę podstawić — ty jeden skonasz na swoich siedemdziesięciu rublach. Co tam! Dla ciebie

http://rcin.org.pl

i tak starczy, nieprawdaż? Byle móc w karcięta zagrać, piwka, konjaczku się napić.

— Kiedy bo ty zaraz... Zdaje ci się, że jak człowieka wyślą na linję w mróz albo chlapaninę, to nic. Że mu wystarczą te dwie czy trzy zabrane z domu bułki.

— Właśnie, mójże ty nieszczęśliwy! Najgorzej to ci głód dokucza. Z głodu pewnie piliście ostatniej niedzieli u tego latawca ze Złotej, co? Kompanijka szanowna, szubrawcy!

— Oho! Wsiadła na łysą i wio!

— Może nie bywało? Możem nie musiała wystawać nocą pod knajpami, żeby coś z pensji dla dzieci się zostało?! Niech tam zresztą! Milsze ci dziewki od żony, niech tam! Ale słyszysz przecie, że trzeba wpis opłacić! Skąd będę brała na wszystko? Skąd?!

— To je odbierz... dawno mówię. Kogo nie stać na zbytki...

— Ale na łotrzyce różne, lafiryndy, stać?! Tfu!... Odbierz! Żeby ci może później córka po rogach się tłukła, jak inne, co? Taki Malinowski...

— Dużo ty wiesz... Malinowski! Podlizuje się, szelma, inżynierom, czapeczką temu, czapeczką owemu, to i jedzie.

— Patrzcie go, jaki honorowy! Barowski, widać, że z panów... Nie bój się, honoru ci nigdy nie zbraknie, abyś tylko udźwignął! Teraz ci Wanda nowego doda.

Barowski zdumiał się.

http://rcin.org.pl

— Co...o? Coś tam wymyśliła? Gadaj!

— A nic. Puszcza się, zwyczajnie.

Zerwał się na równe nogi. Pyta surowo:

— Co ty? Bzika masz?! Wściekłaś się z tej żółci? Wanda!

— A tak, tak, Wanda! Czego ślepia wytrzeszczasz? Wyraźnie mówię: puszcza się z Sochackim. Możeś zmartwiony, że nie z tobą? Łajdaki wszystko!

— Nie bredź! Gadaj, jak to było?!

— Zwyczajnie, najzwyczajniej w świecie... Tu jeszcze zęby do siebie suszyli, a teraz u Keblowej randki. I tyś rączkę przyłożył, aniele. Oho! Kto gałgana do domu wpuścił, kto mu pokoje odnajmował? Poznali się gdzieś na konjaczkach, i zaraz przyjaźnie, amory... „Wykształcony, a ludźmi nie gardzi"... Ano, nie pogardził! Twoja robota, kotku!

— A, pies!!

— Wszyscyście jednacy!

Ale on już nie słucha. Czerwony z gniewu, wytrząsa zaciśniętemi pięściami.

— A pies jeden! A łajdak! Poczekaj, ja ci pokażę! Ja ci żebra zmacam uczciwie! Panienki mu się zachciało, patrzcie-no! Dam ja ci panienkę, draniu! miesiąc z nią w szpitalu poleżysz! Poczekaj, poczekaj, poznasz Barowskiego lepiej!! „Lud pracujący, wyzyski"... Ja ci „lud pracujący" czerwonką wypiszę, ja cię wyzyskam! Poczekaj! A szuja podły, arcypies!

http://rcin.org.pl

I do żony ostro:

— A tyś gdzie oczy miała! Jęzorem dzień boży, jak młotem, walisz, zazdrością życie trujesz, a rodzoną siostrę prześlepiłaś?! Ech, psiekrwie!

— No, no! Aby sobie mną zębów nie wycieraj! Czemuś stróża sobie do dziewki nie zgodził? Idź, upilnuj! Razemeście w konszachtach byli, to przyjaciela pytaj!

— Już ja mu pokażę przyjaciela! Dawać obiad! Ja do niego pójdę, ja mu lekcję przepowiem, aż się prosić zacznie! Nic z tego, taki synu, jakem Barowski, nic z tego! Obiad prędzej! Ja mu...

Urwał na dźwięk ostro szarpniętego dzwonka. Ona, Wanda! Strasznie zmieszany, siadł do stołu z niewyraźną miną, chrząkając niezgrabnie.

Z przedpokoju słychać szelest zrzucanego odzienia i szept przyciszony.

Weszła. Ze starszych nikt ani spojrzał. Cała jej postać podobna do cięciwy napiętego łuku: przez suknie widzisz, zda się, mięśnie, gotowe do odparcia. Piękna twarz blada, jak płótno, pod zwojami przepysznych kasztanowatych włosów.

Na zwykłe powitanie Barowska nie odpowiada ani słowem. Gdy Wanda pieści nadbiegłe dziewczynki, złowrogie „Siadać na miejsca!" przebiega, niby lodowe tchnienie. Przez chwilę w pokoju cisza, aż dusi; możnaby liczyć ude-

http://rcin.org.pl

rzenia niespokojnych serc. Krótkie, boczne spojrzenia, jak sztylety.

Drżą, chylą się dumne źrenice... Już, już ugięły się ciężkie powieki, jeszcze moment, a padnie cień na błękity, chwila i... Nie, oto skamieniały znów w niemej odwadze.

Płomień raptownego gniewu bije na twarz Barowskiej; nachylona ciałem nad winną, wyrzuca zdania ciche, syczące, jak świst bicza w powietrzu:

— Winszuję ci, siostrzyczko... Podobnoś zamąż wyszła, a że bez ołtarza i księdza, to nic... I tak można sobie dobrze robić, prawda? Ale czemu w tajemnicy to trzymasz, najbliższych radości pozbawiasz? Co, aniele? Co, księżniczko perska? Ramionkami wzruszasz, buzieczkę krzywisz... Nie pasuje do dobrego wychowania panienki? Uszka razi?... A w nocy chłopu koszulą świecić, to można? Ty, suko!!

Z piersi Wandy jakby zduszony jęk. Dzieci zastygły w przerażeniu. Próżno Barowski raz wraz powtarza bezradnie:

— Miarkuj się, Helka!

Próżno za rękaw ją ciągnie, ona opędza się tylko machinalnym ruchem. Już teraz nie żałuje głosu.

— Co ty sobie, dziewucho, myślisz?! Nie wiesz to, na jakąś drogę weszła? Od rzemyczka do koniczka, aniołku! Tak! Z początku jemu, później koledze, a dalej z rąk do rąk, aż do

http://rcin.org.pl

rynsztoka. Nie pamiętasz, jak z Heńką było!? Jeśli cię przyparło do niewytrzymania, czemu zamąż nie idziesz, co? Wąsików ci ładnych potrzeba, studencików, lalusiów, co? Ty, ścierko studencka! I na kogoś wreszcie poleciała, na kogo? Obszarpaniec, całych butów nie ma!... Tyle co mundurzyną poświeci, dziewkom głowy zawraca... Szelma! Nie jedną on cię ma, jakbym widziała, kochaneczko!...

Wanda zrywa się gwałtownie. Rozjuszone, sieką się oczyma poprzez stół.

— Aby mi jego nie tykaj! Wara! Nie wam, hołocie, równy — rozumiesz!! Ty, jędzo, ty! Zazdrość ci cudzego szczęścia, szponamibyś każdy promyk wydarła! Siostrunia ukochana! Nie wiem, myślisz, o co ci chodzi? Póki tu byłam, orałaś we mnie, jak w siwego konia, zabierałaś całą pensję, wszystko, do ostatniego łachmanka z resztek! Mówiłam co? Skarżyłam się? Nie, ani słowa, ani pary z ust! Ale tobie mało, oho! Chciałoby się moim kosztem życie sobie poprawić, żeby mój stary mąż protegował, pieniążki sypał... Tak, tak, siostruniu! Sprzedałabyś... Ale to się nie uda! I ja chcę trochę dla siebie! Właśnie! Nie przywiązano mnie do waszej nędzy... To trudno... Urwałam się i już! Ciągnijcie sobie sami... Ja, ja...

Wybucha głośnym płaczem. Dzieci za nią. Babka, oddawna już dająca Wandzie rozpaczliwe znaki, wyprowadza ją szybko do sionki:

http://rcin.org.pl

— Chodź, dziecinko, chodź! Kociak mój najmilszy, królewna mała...

Barowska wodzi przez chwilę osłupiałemi oczyma, niby szukając sprawiedliwości. Co to znaczy? Kto tu winien? ona czy Wanda? Jedyną odpowiedzią ogólny płacz. „Zwarjować chyba przyjdzie!"

— Czego się drzecie, smarkacze! Cicho mi zaraz!

Dzieci w bek jeszcze głośniejszy, aż ojciec ujął się za niemi.

— Samabyś mniej się darła, o!

Tego jej tylko potrzeba.

— Patrzcie-no, obrońca! Ojcostwo mu się przypomniało, widział to kto?! A że w domu głód, nędza, nie wiesz?! Nie wiesz, że żona i dzieci nie mają w czem chodzić, że wpis niezapłacony, a gospodarza wstyd spotkać? Nie wiesz?! Że babka nocami obce brudy pierze, aby wam brzuchy napchać! Obrońca! Przepija, szubrawczyna, wszystko, a ojciec niby!

Barowski zatyka uszy z wściekłością.

— A psiakrew! Szczeka jędza od rana do nocy, aż bębenki puchną! Zwieję ci kiedy do Ameryki, jak Bóg na niebie — dopiero będziesz wyła!

— A jedź, jedź! niech się to raz skończy! Niech się wali, niech się pali, niech dzieci z głodu konają, niech idą na żebry, pod kościół, byle raz koniec! Jedź do Ameryki, do Australji nawet!

http://rcin.org.pl

Ja ręce rozkładam... Sił już nie mam dłużej! Matka zabija się w pracy, dzieci głodne, ten pije, Wanda się puszcza... Nie, to już koniec, nie mogę dalej, nie mogę...

Przyłożywszy obie ręce do skroni ruchem, pełnym ogromnej męki, zawodzi zapamiętana:

— Jezu, Jezu! Co ja, nieszczęśliwa kobieta, będę z nimi robić? Haruję dzień cały, jak ta ostatnia... ręce sobie urabiam, krzyż nadźwiguję, wnętrzności nadrywam z pracy, a oni nic, nic, jakby z kamienia wszyscy! Żeby litości trochę. Nie, nikt nie pomoże, słowa dobrego nie da, bo to wszystko pany, każdemu gotowe przynieś, zrób, naszykuj... Inne, bieda aż piszczy, a po kominkach się tłuką, kawy spijają, teatry dla nich, spacery dla nich — ja nic, jak ta baba zpod kościoła, co rok w jednej sukienczynie, że Panie się pożal, ani ludziom pokazać, ani Bogu się pomodlić... Rwij włosy z głowy, o ścianę wal... Jezu, Jezu!

Czołem na stole oparta, zanosi się od gwałtownego płaczu. Wąskie plecy o wystających łopatkach wstrząsają się konwulsyjnie przy każdym szlochu, jakby je mięła nielitosna ręka; ramiona opuszczone gestem beznadziejnej rozpaczy.

Barowski stchórzył na dobre. Przez chwilę strzepuje palcami z wyrazem szczerego żalu, kłopotliwie biega po pokoju, szukając nieistniejącej karafki, bezradnie kręci się koło żony, wreszcie gładzi ją nieśmiało po włosach.

http://rcin.org.pl

— Helka, nie becz... Uważasz... nie becz, poczekaj-no...

Przez długą chwilę płacz nie ustaje. Barowski miesza się coraz bardziej.

— Helka, no, Helka... czego ci... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

Jest już zupełnie nieszczęśliwy...

Raptem Barowska, jakby zawstydzona własną słabością, odtrąca męża niechętnie.

— Odejdź, ty!... Co ci tam znowu będzie dobrze? Rura z barszczu, niedojda!...

Poprzez głuche szlochy wydzierają się z jej piersi zdania, niby wyrzut, niby skarga, niby bolesny jęk.

— Ty się najwięcej... martwisz... Nie rozumiesz... co Wanda... nam... w twarz rzuciła?... Żeśmy... z niej... żyli... A jeśli prawda... to stosuje się... i do ciebie... i do babki... do tych małych nawet. Dlaczego...| ja jedna... mam za wszystko... odpowiadać?... Że skapielibyście... beze mnie?... Ech... co tam!...

Barowski zgadza się na wszelkie zarzuty, gotów jest potwierdzić najcięższe oskarżenia. Byle nie te łzy! Dość już, dość! Śledząc żonę zpod oka, przemyśliwa o obiedzie. Za chwilę słychać jego basowy szept:

— Mania! idż-no, przynieś zupę... Jeśli zimna, to niech babka odgrzeje. A nie poparz się tam!

Wszystko wraca do codziennego nastroju.

http://rcin.org.pl

Dramat ginie za suchym szczękiem talerzy, łoskotem łyżek, smacznem mlaskaniem dziecięcych warg. — Młodsza dziewczynka ryzykuje już niepewne uśmiechy w stronę ojca. Tylko Barowska ani myśli o jedzeniu. Nagły gniew wyrwał w jej duszy olbrzymią czarną jamę, w którą sączy się teraz żal beznadziejny. Szemrzą cichutko spływające po drżących nerwach strumyki, a dno pokrywa wstyd, jak osad gorzki. Za każdem otwarciem drzwi wdziera się z sionki fala żałosnego płaczu, za każdym razem mąci się jezioro. „I poco było krzyczeć?... Ani zaradzi, ani pomoże... Zwymyślałam, a ona ode mnie biedniejsza"... Nasłuchuje przez chwilę. „Cichnie już, Bogu dzięki"... Niespokojnemi oczyma bada uroczystą powagę na twarzy starszej córki, jakby strwożona przed milczącym wyrokiem. Gdy po obiedzie dziewczynki chylą się do jej ręki, Barowska zatrzymuje Manię w długiem objęciu.

— Dziecko ty moje... dobre... kochane...

— Co, mamusiu?

— Nic, nic...

Zapada wczesny zmrok jesienny. W cichem teraz mieszkaniu ciemność rozkłada się stopniowo, powoli, jakby wchodziły doń długiemi pasmami podwórzowe dymy. Snują się pasma, cicho po kątach się kładą, każdą rzecz owijają lotnemi kirami... Już i głowy szepcących dzieci znikły, Barowskiego na otomanie nie widać. Przed świętym obrazem coraz wyraźniej odcina

http://rcin.org.pl

się czerwone migocące światełko lampki, niby bezdźwięczne krwawych łez kapanie.

Wśród tego mroku postać Barowskiej, jak czarny włóczący się cień.

— Życie, życie... Jestem, jakby ten pies łańcuchowy... Waruj koło cudzego dobra, strzeż, pilnuj... A że czasem polano nogę przetrąci, że ci się boki zapadły, nic to, nic to... Psia dola, psi los! Mój ty najsłodszy Jezu...

Żal za straconem życiem, za miłością wygasłą, za szczęściem żal... W umęczonej duszy wzbiera potężnemi falami litość dla wszystkich: dla siebie, dla matki, dla dzieci, dla męża nawet. A najwięcej dla tej niedobrej Wandy, co ją tak dzisiaj skrzywdziła.

Na palcach zbliża się do przymkniętych drzwi. Przyciszona rozmowa.

— ...Nie jak dawniej, bez ślubu... co ty, Wanda? Tak ci wieczorami tłumaczy? A, gałgan!

— Kiedy bo mama...

— Nic, już nic, dziecko! Tylko jakże tak można?

— Zwyczajnie. Małżeństwo, ale bez kościoła—rozumie mama?

— Oj, rozumiem, rozumiem, dziecko... Sprzykrzysz mu się i weźmie ślub... z inną... Mój Boże...

Barowska załamuje ręce, aż w stawach trzeszczą. „Niedobra, niemądra dziewczyna! Żeby się była spytała, o radę poprosiła—ale nie. Dumne

http://rcin.org.pl

to, uparte to, a głupie! Każdemu wierzy na słowo, byle nie siostrze rodzonej. Ech, Wanda, Wanda!"

W sionce długi wykład, przerywany pocałunkami trzęsącej się siwej głowy. Barowska znowu słucha.

— ...A Helka wyszła zamąż z księdzem i co? Od octu kwaśniejsza.

— Nie mów tak o Heli, dziecinko... Ona, widzisz, chciałaby najlepiej, tylko życie, jak ten kamień dla niej: ani go ugryźć, bo twardy, ani się przytulić, bo zimny...

Drzwi uchylają się nieśmiało. Barowska siada przy siostrze, obejmując ją lękliwem ramieniem.

— No, Wanda, nie bądź zła na mnie... Jeśli my jeszcze będziemy się żarły, to lepiej odrazu na hak! No, Wanda...

— No, pocałuj... o tak!... Dziecina moja kochana! Widzisz... Och, Boże!... Żeby nie owa wieczna nędza, troski, co serce rwą z człowieka...

Na podwórzu zapalają latarnię. Ostry blask długiemi pasami biega po suficie i ścianach, zaglądając w oczy trzem pochlipującym zcicha w objęciu kobietom.

http://rcin.org.pl

WYZNANIE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Władek, mąż lat przeszło jedenastu, uczuł nagle, że życie jest doprawdy psa warte. Zdarzyło się to w chwilę potem, jak panna Wanda wyszła ze stołowego, nakazawszy mu uczyć się słówek powtórnie. Próżno przysięgał się na matkę, że jeśli nawet nie umie z polskiego na łacinę, to jeszcze nie dowód: jak świat światem, Szewc nie pytał inaczej, niż z łaciny na polski. Toć byle „pierwszakowi" wiadomo! Ale czy „babie" można co wytłumaczyć? Nie wysłucha nawet porządnie, uprze się — i rób, co chcesz!

— Psa warte takie życie, ech! — westchnął ciężko, uderzając w stół brudną pięścią.—Ostatki— cały tydzień świąt — a ty, człowieku Boży, siedź w mieście, kując przeklęte słówka! Dla jednej głupiej dwói na cenzurze! W dodatku — niesprawiedliwej... Cała druga klasa zaświadczy, że Szewc, wziąwszy pigułą w łeb na gimnazjalnem podwórku, uprzedził się do Władka. Żeby choć rzeczywiście on cisnął — no... byłaby jakaś satysfakcja. Ale tak... Starzy napisali do pani Hennisz, że tylko ośmioklasiście Mietkowi wolno wrócić na wieś, do domu. — Jeszcze się nazywa

http://rcin.org.pl

miłość rodzicielska — jęknął z goryczą. — Chryste Panie! jak tam w Zawadach musi być rozkosznie! Przymrozki trzymają, a może i śnieg leży jeszcze... kto wie? Pojechałby na nowym kucu do Stefka Gałeckiego... U Ziemęckich bal, jak co roku... pączków kupami... faworki... Meciura, dryblas, używa, — pomyślał zazdrośnie. A on tu sam jeden między babskiem! Ile tego jest? Cztery? Nie, pięć... Zaraz! — Liczył na palcach: — Stara kwoka Henniszowa, panna Stefanja (uch, pudło!...), panna Wanda, Mańka, Zośka... pięć, jak lodu! Pięć bab, a on jedyny mężczyzna! Do djabła z taką zabawą!

Zatknąwszy uszy rękoma, kiwał się uroczyście nad książką, z umysłu wykrzykując na całe mieszkanie, aby przekonać kogo trzeba o pilności.

Trwało to zresztą możliwie krótko.

— Panno Wando! już!

— Ucz się! Nieprawda!

— Kiedy mówię, że już! — No niech pani przyjdzie...

Do pokoju weszła przystojna, pięknie wyrośnięta panienka w szkolnym mundurku.

— Coś strasznie prędko...

— Łatwo się przekonać. O proszę! Książka tutaj.

Obciągnąwszy kurtkę, wyprężył rysy w inteligentnem oczekiwaniu.

— Pocisk?

— Telum.

http://rcin.org.pl

— Wstępować na co?

— Es... es... Zaraz... Escendo, escendi, escensum! Aha!

— Gardzić, lekceważyć!

— Gardzić... gardzić... Kiedy bo pani na wyrywki...

— Nie umiesz. Sperno, sprevi, spretum. Wiać?

— Nie mogę tak prędko... Zaraz... Panno Wando, a ja mam list do pani!

— Co takiego?

— Mam list do pani!

Panienka spojrzała nań nieufnie, zmieszana.

— Kłamiesz pewnie... Od kogo?

— Od Mietka.

Łgał najserdeczniej, patrząc jej prosto w roziskrzone oczy. Co za szczęście, że sobie w porę przypomniał o owych brata „amorach"; byłby wpadł znowu ze słówkami, jak amen w pacierzu!

— No, daj ten list!

— Ba! A zaświadczy pani, żem umiał?

— Zaświadczę, zaświadczę!... Dawaj!

Sięgnąwszy do bocznej kieszeni, szukał w niej chwilkę. Nagle twarz jego wyraziła silny niepokój.

— Tu niema... Zaraz... Pewnie w kamizelce.

Rozpiął się, ze skupioną miną badając bezdenne skrytki ubrania. Panna Wanda przerwała z tłumioną wściekłością:

— Kłamczuch przebrzydły!

http://rcin.org.pl

Z flegmą dokończył wywracania kieszeni na świadectwo prawdzie. Wreszcie stwierdził z głębokim żalem:

— Niema. Zgubiłem, widać, w szkole...

— Nieprawda!

Obraził się.

— Zaraz „nieprawda!“ Napiszę do Mietka, że mi pani strasznie wymyśla i chce listu koniecznie... Jutro napiszę! Oho!

Panienka zarumieniła się po uszy.

— Ani mi się waż, głupi!

— Nie? Dziwne... Mogę odejść?

— A idź! wynoś się!

Wyszedł wolno, ruchami pełnemi godności. Za drzwiami dopiero, chichocąc triumfalnie, zrobił „lewka“, jako symbol stanowczej przewagi męskiego ducha. „Głupie są te babska, że no! Ani im się umywać do belfrów“ — myślał z żalem. Zmierzał teraz do „dziewczyńskiego“ pokoju, gdzie od niedawna wprowadził rozkoszną zabawę „w Indjan“. Wchodząc z góry w swą rolę, skradał się wzdłuż ciemnego korytarza cichuteńko, na palcach... Stanąwszy przed niedomkniętemi drzwiami, nasłuchiwał chwilę. Nic. Zajrzał. Dziewczynki gawędzą cicho, przytulone do siebie. W ostrem świetle lampy długa, przezroczysta twarz Zośki Janickiej wydaje się kredowej bladości. Szepce coś gorliwie najmłodszej Henniszównie, o czemś ją przekonywa, a tamtej aż zorze wystąpiły na krągłe policzki. Władek

http://rcin.org.pl

skrzywił się niechętnie: „Znowu jakieś głupie tajemnice"...

Pchnął gwałtownie drzwi i skoczył na środek z wrzaskiem:

— Jam jest Dżibennonosah, Duch puszczy!

Dziewczęta krzyknęły ze strachu. Nim jednak ochłonąć mogły, pytał surowo, marszcząc się przeraźliwie:

— Azali gotów jest ten wigwam na przyjęcie wojownika?

Mania replikowała bez zająknienia:

— Udziec bawoli piecze się przy ognisku.

— Słuszna pokrzepić siły, bowiem Siuksy i Komancze szykują nową wyprawę na siedziby bladych twarzy. — I zaraz po „nie indyjsku":

— Dalej, Zośka! Krzesełka do kupy! Ściągnąć kołdry! Zrobimy namiot, jak nigdy. Prędzej, bo kolacja!

Dziewczęta nie ruszyły się z miejsca.

— Cóż to? Czemu stoicie?!

— Pani Hennisz zabroniła rozbierać łóżka — tłumaczyła Zosia nieśmiało.

— Iii... ktoby tam słuchał! Nic nie będzie! Do roboty! Dalej!

— Tak, tobie nic, bo nie twój pokój... Na nas się skrupi.

Władek wydął usta ze wzgardą.

— „Blada siostra ma twarz dziecka, a serce jelenia"... Z babami tak zawsze! Nie zna się to na niczem i gada... Cała zabawa na nic!

http://rcin.org.pl

— Możeby w co innego? W ślub naprzykład...

— W ślub? Hm...

Wahał się chwilę, wietrząc w tej historji coś niemęskiego. Jakieś tam śluby! Ale Zosia nastawała gorliwie:

— No zgódź się, Władek! Przecież i dorośli panowie...

— Dorośli robią wogóle dużo głupstw — pouczył.

— Tak... ale co ci szkodzi? Zobaczysz — będzie ślicznie. Uszyłam sobie muślinowy welon, włożę wianek — zobaczysz, zobaczysz! Mania odprawi wszystko przy komodzie... niby ołtarz...

Mania ucięła sucho.

— Tylko że ja nie chcę być księdzem.

— Dlaczego?

— Chcę być panną młodą.

— Przecie nie masz welonu, ani nic!

— Wszystko jedno. Dlaczego ty wybierasz sobie najlepsze?

— U... zazdrośnica!

— Niech tam, a księdzem nie chcę!

Władek wzruszył ramionami.

— Mądrale! To ja dam ślub — dobrze?

Dziewczęta spojrzały po sobie niepewnie. Wreszcie Zosia:

— Kiedy panny nie żenią się przecie z pannami...

— Ba! A księdzem też baby nie bywają!

— Tak, ale zawsze ksiądz ma suknię.

http://rcin.org.pl

Zmuszony uznać pewną słuszność argumentu, Władek rozgniewał się tembardziej.

— Głupie gęsi! Gę, gę, gę! Zgadzasz się, Mańka, bo idę do siebie?!

— Nie. Ale można w sekretarza.

Chłopiec ustąpił, zniechęcony. „Warto się z byle kim kłócić! Niech się sroki nacieszą"! Za chwilę siedzieli nad stołem, pochyleni, zasłaniając przed sobą kartki rękami. Władek długo moczył w ustach ołówek, czerpiąc z sufitu natchnienie; wreszcie uśmiechnął się z zadowoleniem. Jest! Wysunąwszy koniec języka, smarował olbrzymiemi kulfonami sprytne zagadnienie: — Obliczyć wartość panny Stefanji, jeśli funt starych kości kosztuje dwa grosze. — Nagle uwagę jego zwróciły szepty i ostre chichoty dziewcząt. Udając, że pisze, obserwował je z pod oka. Mańka dostała jakąś karteczkę od Zosi i cieszy się, zaśmiewa, jakby ją kto łechtał! Oho! teraz znowu Zośka aż nogami dryga z radości. Napewno te obrzydłe sekrety! Ciekawość chłopca zaostrzyła się niepomiernie. Postanawia jednak działać z rozwagą.

— No, babska, teraz czytać głośno!

Panienki zakręciły się na krzesłach, chichocąc jeszcze cieniej.

— Jazda! Co tam znowu?

Zosia przybrała minę tajemniczo zakłopotaną.

— Widzisz... to nasze prywatne listy, pa-

http://rcin.org.pl

nieńskie... Chłopcy nie o wszystkiem mogą wiedzieć.

— Patrzcie-no! Panieńskie! Mizdrzy się, jak cielę do proboszcza! Taka była umowa?

— Proszę cię bardzo... Po pierwsze, nie wymyślaj, a po drugie—nie mogę pokazać. Trudno...

Mówiła to głosem spokojnym, pełnym dystynkcji. Władka aż podnosiła wściekłość, lecz dusił ją w sobie roztropnie. Włożywszy ręce do kieszeni, kiwał się obojętnie na krzesełku, z ramionami wzniesionemi wzgardliwie aż do uszu.

— Phi... Nie, to nie! Nic mi po babskich tajemnicach. Chociaż i ja mógłbym coś ciekawego opowiedzieć... Naprzykład — o Mietku i pannie Wandzie...

Zerwały się gwałtownie.

— Opowiedz! Władek, opowiedz! Prosimy cię. Koniecznie!

— A pokażecie wasze bazgroty?

Spojrzały po sobie.

— Kiedy bo... my nie możemy. Naprawdę, Władek...

Najchętniej wyrwałby siłą, lecz bał się, aby nie podarły kartek. Raptem olśniła go genjalna myśl.

— No dobrze... Powiem Mańce, jeśli przysięgnie, że ani mrumru.

Zosi, zawsze płaczliwej, odrazu stanęły łzy w oczach.

— A mnie?...

http://rcin.org.pl

— Dobrze—i tobie, bekso. Ale potem. Chodź, Mańka!

Wyprowadziwszy dziewczynkę do ciemnego korytarza, udawał przez chwilę, iż bada, czy nikogo niema w pobliżu. Wreszcie, nachylony nad jej błyszczącemi oczętami, zaczął mówić szeptem, powoli:

— A nie powiesz?

— Nie.

— Jak Boga kochasz?

— Jak Bozię kocham.

— To słuchaj... No, słuchasz?

— Słucham.

— Mam ci powiedzieć... że... że... — raptem parsknął jej śmiechem w sam nos — żeś głupia, jak but! Wiesz teraz?!

Szybko wepchnął zdezorjentowaną Manię do pokoju i wołał na drugą.

— Zośka! Teraz tobie, prędzej!

— Nie chodź! On oszukuje tylko!

— Uuuu! Zazdrośnica! Chce sama wszystko wiedzieć! Chodź, Zosia!

— Nie wierz, Zosia! Nie wierz!

Ale już była za drzwiami. Władek patrzał na nią drwiąco, ze złośliwym uśmieszkiem.

— Wiesz, dlaczego Mańka nie chciała, bym ci powiedział!

— No?

— Bo sama pokazała mi twoją kartkę... O, patrz!

http://rcin.org.pl

Powiewał jej przed oczyma ćwiartką czystego papieru.

— Ładna historja! Pokażę to starej, będziesz się miała z pyszna! Pisać takie rzeczy!

Zosia przybladła z przerażenia.

— Pokazała? Co ty, Władek? Naprawdę pokazała?

— Widzisz przecie. Mówiłem — nie zadawać się z byle smarkatą!

Dziewczynce popłynęły ciurkiem łzy.

— Lizus! uuu! A przysięgała się... Poczekaj, Mańka!... Kiedy tak, to i ty także!... Zobaczysz... Masz, Władek, masz...

Wyrwawszy jej gorączkowo kartkę, Władek wpadł do pokoju z triumfalnym wrzaskiem i czytał przy lampie, zanosząc się od śmiechu:

— „Ja także kocham się we Władku!" Ha, ha, ha! Ładnie, Mańka, ładnie! Niema co! Powiem matce, będą wały! Będą wały! Ha, ha, ha! Przy wszystkich powiem! przy kolacji!

Mania patrzała na to oszołomiona. Zrozumiawszy, zaczerwieniła się z gniewu, jak wiśnia, i splunąwszy symbolicznie pod nogi Zosi, wyrwała drugą kartkę z kieszeni.

— Nie ja tylko!... Masz! I nic mi nie będzie, żebyś wiedział!

Entuzjazm Władka dobiegł szczytu.

— „Czy ty nie kochasz się we Władku? Chciałabym go pocałować". Brawo, Zośka! To ci dopiero warjatki, no!

http://rcin.org.pl

— Chciałabym go pocałować... Pocałuj psa w nos! Ha, ha, ha! Powiem, powiem! Umrą wszyscy ze śmiechu! Ha, ha, ha!

Targał je za sukienki, skacząc po pokoju i przewracając krzesła w szale radości. Co chwila skrobał dziewczętom „marchewkę", to znów kręcił się w dzikim „tańcu wojennym", wydając wściekłe wrzaski zadowolenia.

Przez półotwarte drzwi zajrzała zwabiona hałasem panna Wanda.

— Co tu za krzyki? Władek! co ty wyrabiasz?

— Panno Wando! Niech pani idzie! Niech pani to przeczyta! Proszę pani!

— Kto pisał te głupstwa? Wy, dziewczęta?

Władek wytykał palcem winowajczynie, czerwone ze wstydu, z ustami ściętemi w podkówkę.

— A któżby?! One, one... O, głupie gęsi! Gę, gę, gę! Panno Wando, co?!

Panna Wanda parsknęła nagle serdecznym, rozdzwonionym śmiechem. Dziewczynki w bek. Ale ona, nie dbając już o powagę, zaśmiewała się tembardziej, podniecana do coraz to nowych wybuchów przez Władka, który stojąc naprzeciwko z dłońmi wspartemi na kolanach, ryczał wprost z ukontentowania. Wypadła wreszcie z pokoju, dusząc się.

— O smarkate! Niemądre kozy! Ha, ha, ha! Stefa! Stefa!

Stara panna przejrzała kartki przez założone

http://rcin.org.pl

binokle. Jej wysoka, szczupła postać, nachylona nad lampą, rzuciła monstrualny cień na przeciwległą ścianę. Dziewczęta chlipały też pocichutku, z rezygnacją, nawet Władek zaciskał usta pięścią, czekając na efekt, by dać sygnał dalszej wesołości. Ale uśmiech prześlizgnął się tylko po wąskich wargach panny Stefanji. Za chwilę szeptała coś siostrze z niezadowoleniem. Władek nastawił ucha: „...Dziwię ci się... Co z niego wyrośnie, jeśli już teraz... z kobietami"... „Jędza, stare pudło" — przemknęło mu przez myśl nienawistnie. Ze zdumieniem słuchał łagodnych wyrazów, zwróconych do płaczących dziewcząt:

— No, no, małe, nie beczeć! On, głupiec, niewart tego.

Mania spojrzała nań z gniewem poprzez perliste łzy.

— Oszukaniec! Myśmy dla siebie tylko... Skarżypyta, pół-kopyta! Uuu!...

Wysunęła język, jak mogła najdalej, lecz chłopiec odwrócił się tylko pogardliwie. Czuł, że sprawa przybiera jakiś dziwny obrót. Na nim się skończy, jak zawsze! O, wyprowadza je, głaszcze nawet — tak, tak — teraz do niego, rozumie się... Zaciąwszy się w sobie, czekał z zuchwałym uśmieszkiem.

— Tyś czego kontent, niemądry? Co? Zamiast być wdzięcznym za życzliwość...

— Nie dbam o ich głupie życzliwości!

— Powinieneś dbać!

http://rcin.org.pl

— Iii... Wcale się nie proszę!

— Cicho! Nie wiesz to, że prawdziwy mężczyzna musi być dobry dla kobiet?

— Takie tam kobiety...

— Wszystko jedno. Słabsze są od ciebie, rozumiesz?!

— Też się z niemi nie biję.

— Nie odpowiadać! W tej chwili mi je przeprosić! Słyszysz!

Milczał, zdumiony tym niepojętym rozkazem. Wreszcie zakipiała w nim wściekłość. Zwarjowała baba, czy co? Patrząc jej prosto w oczy, wycedził powoli, starannie oddzielając wyrazy:

— Ani... mi... się... śni!

Panna Stefanja poczerwieniała, jak piwonja.

— Co?! Coś ty powiedział?! Marsz mi do kąta! Natychmiast!

— A jakże! Nie pójdę.

Chwyciła go lekko za ramię, popychając ku szafie. Tego mu tylko było potrzeba: przykucnąwszy pod jej ręką, darł się na cały głos, skrzywiony boleśnie.

— Oj, oj! Zaco mnie pani bije?! Powiem matce! Oj! oj! Niech się pani nie szczypie, bo naskarżę! Tak mnie boli! Uu! uu! uu!

Zasłoniwszy twarz ręką, udawał, że płacze. Panna Stefanja puściła go momentalnie.

— Ach, ty nicponiu! Ty, komedjancie! To ja dla niego, jak dla kogo dobrego!... Pisałam właśnie do Zawad, że można cię zabrać, mimo

http://rcin.org.pl

łacinę... O ziółko! Poczekaj, popamiętasz ty ruski miesiąc!

Ruszyła do drzwi z takim impetem, że ledwie ją uprzedzić zdążył, zastawiając drzwi.

— Panno Stefanjo! Ja już pójdę do kąta!...

— Oho! Za późno, kotku! Puszczaj!

— Nie, panno Stefanjo! Pani się mści zaraz... Ja przeproszę...

— Przeprosisz?

— Hm... A możeby lepiej stać w kącie całą godzinę?... I tak kara... No, panno Stefanjo, proszę...

Za chwilę siedział na podłodze przy piecu, dźwigając losy z filozoficznym spokojem. Że to właściwie „dziewczyniska" powinny stać po kątach, było dlań jasne, jak słońce: niechby on wypisał takie brednie, no!... Zna ich przecie! Wie, czego się spodziewać! A tym srokom nic! — prawie pochwały!

Z serdeczną ulgą rozpoczął obmyślanie jakiejś finezyjnej zemsty na po świętach.

http://rcin.org.pl

WACEK

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Siadłszy na zwalonej gruszy, Wacek ryczy już od samego obiadu. Funkcjonuje z przejęciem i metodą: mrużąc oczy, z otwartemi szeroko usty, wyrzuca trzy fale dźwięczne unisono, urywa raptem, chwilę nasłuchuje efektu — i da capo. Aa... aa... aa... Mimo pozornego spokoju duszę ma pełną niepewności; łatwo powiedzieć — płacz! kiedy oddawna łez zbrakło, a końca historji ani dojrzeć. Ustąpić? Przestać? Tak, a czemu go nie zabrano do Bukowskich? Dlaczego wszyscy mogą patrzeć na pannę Jadwigę, on tylko jeden nie? Przecie i lekcje umiał i grzeczny był całe rano... Dopiero ta przebrzydła nauczycielica! Wacek wysuwa jej w myśli język, jak długi. Właśnie będzie beczał, choćby bez sensu, a będzie! Niech się dzieje, co chce!

Od drogi dobiegają gwar i śmiechy powracających. Ze zdwojoną gorliwością, kiwając się miarowo, chłopiec drze się teraz, jak opętany. „Zobaczymy, kto dłużej wytrzyma", myśli dumnie, zezując w stronę domu. Za chwilę pędzi ku niemu przez trawniki „długonoga" Hela. Zatrzymawszy się w przyzwoitej odległości, bada go kpiącemi oczyma.

http://rcin.org.pl

— Ooo... ryczywół!

— Odejdź, Helka, bo przetrącę!

— Uuu... mazgaj! stara baba!

Wacek zrywa się do skoku. Już, już... Nagle, wzruszając ramionami, wyrokuje sucho, tonem nieodwołalnym:

— Gidja.

— Mama ci zapowiada, że jak zaraz nie przyjdziesz na podwieczorek, to będą wały!

Milczenie,

— Wiesz, na pokładankę... siach!... siach!... Ostatni raz mówię: marsz do domu, smarkaczu!

Uzyskawszy tylko spojrzenie, pełne bolesnej pogardy, dziewczynka zmienia taktykę. Skacząc na jednej nodze, a zawsze z zachowaniem dystansu, podśpiewuje obojętnie:

— A tam są ciastka z kremem, są ciastka z kremem, są ciastka z kremem!

Potem znowu:

— A tam są i poziomki, są i poziomki, są i poziomki!

Grot utkwił. Zgłodzona istność Wacka wybucha nowym jękiem.

— Aa... aa... aa...

— Znowu wyjesz? Nie wstyd ci starszej siostry? Już i tak wszyscy się śmieją: i Stefan, i Kazia, i panna Jadwiga... Wyjec amerykański! zamieszkuje lasy brazylijskie...

Na wspomnienie panny Jadwigi chłopiec urywa płacz momentalnie. Z wojennym okrzykiem „Ach,

http://rcin.org.pl

ty nędzo długonoga!“ puszcza się w pogoń za siostrą, lecz, nie dobiegłszy do domu, skręca w boczną uliczkę i ostrożnie, krzakami podchodzi do okna salonu. Ledwie mu się serce nie wyrwie z za cienkich żeber. Przez szybę widzi, jak Helka opowiada coś żarliwie, a po przecudnej matowej twarzy panny Jadwigi snują się złote błyski, coraz prędzej, aż wkoło ust zebrane, wykwitują dwoma ślicznemi dołeczkami. Wacek, nie mogąc oczu od nich oderwać, wysuwa głowę zbyt zuchwale. Oho! już go spostrzegli. Daje szczupaka w dół i kuli się pod parapetem, ale zapóźno: słychać szuranie krzeseł, szybkie kroki do ogrodowych drzwi... Chłopiec, jak zając, jednym susem znajduje się na ścieżce i pędzi, ścigany przez piękną pannę.

— Wacek! Wacek! Poczekaj!

Dopadłszy płotu, obraca się trwożnie. Panna Jadwiga siadła opodal na ławce i oddycha szybko, zrumieniona śmiechem i pogonią.

— Wacek, chodźże tutaj!! Cóż to, boisz się?

— Wcale nie...

— Więc chodź! Prędzej, no!

Chłopiec idzie wolno ze spuszczoną głową, jak oczarowany; o parę kroków przed ławką staje, drżąc cały.

— Bliżej!

Ani się ruszył. Dopiero za rękę wziąwszy, wciągnęła go na kolana.

— Uff! co za ciężkie chłopczysko! A urwis,

http://rcin.org.pl

a tchórz, a mazgaj! Pokaż-no ślepia! strach, jakie zabuczane... nie wstyd ci? Za karę pocałuję i wąsy nie urosną! Masz! Masz!

Wacek czuje na oczach i twarzy chusteczkę o jakimś cudnym zapachu, a wślad za nią pełne, gorące usta, od których rozchodzi się po całem ciele niewymowna słodycz, tak silna i upajająca, iż tuli się tylko do niej serdecznie, a głowa opada mu na ramię.

— No, no! aby mi się tu nie rozmazywać... Gadaj, coś tam nabroił?

— Ja nic... to oni nie dali mi pójść do pani!

— Mojeż ty niewiniątko! A kto wyprawiał awantury przy lekcji? Co?

— To ona, ta nauczycielica... krokodyl!

— Jak?

— A bo jest krokodyl i już.

— Co ty gadasz? Pewnoś nic nie umiał?

— Oho, wszystkich królów na wyrywki... może pani zapytać! Dopiero, jakem się zaczął trochę huśtać na krzesełku, ale troszeczkę, to ona postawiła pałę ze złości. A ja nie chcę, bom umiał.

— Coś tam kręcisz, smyku... przyznaj się!

— Wcale nie... tylko potem było mi już wszystko jedno. Ona mówi: „Huśtaj się, huśtaj... może nogi na stół położysz?“ A ja mówię: „Jak mi się spodoba, to położę“. — Dostałbyś od ojca — no!“ Więc ja nogi na stół, a ona się rozzłościła, jak pies, i otworzyła drzwi do jadalnego, gdzie była mama.

http://rcin.org.pl

— Ładne historje! Niema co! Idź sobie ode mnie, ty brzydki! No, proszę się wynosić!

— Nie, panno Jadziu, nie... I pani też? Com ja winien, że ona niesprawiedliwa? Zaco pałkę?

— Huśtałeś się...

— A jak ona godzinami coś z nosa wyciska, to ja nic.

— Pfe! co za głupstwa! Zresztą już wymówiła mamie! ma cię wyżej uszu!

— Wcale się nie proszę... A kto teraz będzie, nie wie pani?

— Hm... możebym ja sama, ale...

Wacek zajrzał nieufnie w czarne, roziskrzone oczy.

— Nie wierzę... Byłoby za dobrze.

— Kto wie? Gdybyś przyrzekł być grzecznym...

Nagła fala nadziei zalewa duszę chłopca.

— No niech pani... panno Jadziuniu! moja najzłociejsza! moja kochana! Niech mnie pani uczy! Zobaczy pani, już będę grzeczny, jak Helka... jeszcze bardziej! Ani się huśtać, ani nic... Choćby cały dzień przy lekcji, tylko niech pani!

Schwyciwszy jej rękę, okrywa gorącemi pocałunkami i białą dłoń, i wierzch, i różowe palce o migdałowych paznokciach, aż ją do obrony zmusił, zawstydzoną.

— Dobrze już, dobrze! Puść rękę!

— A napewno? Słowo?

http://rcin.org.pl

— Słowo, ty niemądry...

Chwilę siedzi spokojny, tuląc się, jakby odurzony niespodzianą radością i pachnącym ciepłem jej ciała. Panna podnosi się wreszcie.

— Marsz do domu. Matkę przeprosić!

— A nie pocałuje pani?

— Pieszczoszysko przebrzydłe... No, idź już...

Chłopiec patrzy za odchodzącą aż do skrętu alei. Potem puszcza się całym pędem na łąkę i pada na kopicę świeżo ściętego siana, w wonnych źdźbłach kryjąc twarz rozpaloną. Leży tak cichutko, a z oczu kapią mu duże, niewymuszone łzy...

http://rcin.org.pl

O CZAROWNEM ZIELU
I RYCERNYM PASIE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Chycili się matula Jaśka, sukmany im z ręców nie wydrze.

— Oj, nie chodzi, nie chodzi, Jaśku, do bora Nie widzisz hań, ciemień jaki? Chmurzyska, kiej ta czarna pierzyna nad polem, wicher ino zagonami za czyimści trupem wietrzy... Straszna noc! Od zachodu bór się ciężko kolebie, a szumi, a gada... dołem jakiesi ognie pełgają, coś między drzewami huka, rechoce... — sam zły, musi, weselisko sprawia. Oj, nie chodzi, Jaśku, nie chodzi! Już mi ta żyw nie wrócisz!

— Nieporada, matko! mus mi do bora iść. Czarownego mi trza ziela!

— Abo ci to w chałupie źle, a bo ci to u matki krzywda? Abo głodem mrzesz, abo nie dośpisz, abo cię kto niewoli? Aboś to na ojcowym nie gospodarz?! Nie chodzi, synku, nie chodzi!

— Puśćta matko! Już mi ta siły nie strzymać, kiej jej doma ciasno! Puśćta, mówię!

Szarpnął się Jasiek leciutko, ino starej łachetek w rękach ostał. Rzucili się za nim matczysko — hale, poszedł! Dopiero jęli zawodzić!

http://rcin.org.pl

— Oj, na kogo ty mnie, Jaśku, ostawiasz... Kany się przez ciebie, sierota, podzieję!...

Zapalili gromnicę przed Częstochowską, padli na kolana, jaże w kulasach trzasło, — i modlą się żarliwie, ino szlochy im siwą głową trzęsą, a łzy kiej te różańcowe paciorki na ziem lecą... Dobrze już po północku przysiedli se na skrzyni pod oknem czerwonemi ślepiami za synem w ciemnościach gonić. Aż i zdrzemnęli się krzynę.

Wraz po świtaniu skrzypnęły w obejściu wrota. Ocknęli się matka, przezierają ze snu... Jasiek... Sukmana na nim w kawałach, buciska zbłocone, gęba i ręce we krwie, ino mu te oczy gorzeją, co i łuczywa nie trza. Z za pazuchy ziela snopek wygląda niezgorszy.

Dopadli go stara z krzykiem, hale ich ręką odgarnął, jeść prosi. Zakręcili się migiem po izbie, warzą, a fartuchem raz w raz do oczu sięgną, w cichości se przegadując:

— Wróciłeś, mój królu złoty, wróciłeś... Już ci ta starej matki żal, sokole...

Podjadł se Jasiek poczciwie, Pana Boga pochwalił i na ławie zległ. Ziele leciutko pod głowę złożył, coby mu się dobrze spało.

Starą ciekawość zbiera silna. Pyta:

— Czarowne to?

Rozśmiał się.

— Bobych to jensze brał?

I śpi.

Już słonko do południa pół drogi zbiegło,

http://rcin.org.pl

kiej stara wrócili od pielenia. Patrzą, a tu Jasiek co najlepsze szatki na się wdział, kółeczkami u kierezji dzwoni, pawie pióra u czapeczki gładzi.

— Kanyż to?

— A do dwora ze zielem.

Jaże ręcami prasła.

— Toś lo pana po ono ziele chodził?!

Prześmiewa się parób, wesół.

— A ino! Chłopu ta nic po bogactwach.

— Boga ty się, Jasiek, nie boisz, abo jak?! To u samego wiater po stodole świszczy, przednówka ino patrzeć, a ty tylośne skarby panu niesiesz?! Mało mu to ojce nadźwigali?! A tu ci matka trzy razy jedną zapaskę łata, każde ziarenko w garnku liczy!...

Długie szykowali stara gadanie, ino co się Jasiek w drogę zabrał. Wylecieli za nim na wieś, dyrdają wpodle, a pomstują, a proszą...

— Bodejci się to ziele na kamień obróciło! Bodejeś zmarniał, kiejś taki! Ady choć się starości ulituj, choć ździebko matce oddaj, na trumnę!...

Rzucił za się garsteczkę, — ostała.

Ledwie do kuźni Jasiek doszedł, a tu dziedzic kowala wyklina, co mu najlepszego źrebca wczora zakuł. Zły sielnie, krzyczy, ręcami, kiej ten wiatrak, macha. Gromada wkoło łeb przy łbie stoi, poredza.

Nastawił Jasiek łokcie, by miedzą śród na-

http://rcin.org.pl

rodu idzie; jaże niejednego, co boków nie baczył, gniew zbiera.

— Hale, drągal! Pchaj swego brata, kie go masz, bo głupi.

— Cie go, franta! Musi go na pieskie wesele za drużbę biorą.

— Puśćta! Do pana idę z kupnem!

— Cichojta, ludzie! Indory macał będzie, lotego zielsko dźwiga.

— Gospodarz, jucha!

A już i pan go dojrzał.

— Czego?

— Za kupnem, jasny panie. Po twój rycerny pas i złote ostrogi.

Sczerwieniał pan we chwilce, kiej ten aksamitny kontusz na nim. Kiej nie tupnie nogą, kiej nie wrzaśnie:

— Brać go tu sam!! Ja cię, chamie, żartów oduczę!

Dopiero Jasiek za ziele. Co listek ciśnie — złota blacha się na ziem z brzękiem wali, co nać w palicach skruszy — drogie kamienie kiej groch się na piach sypią... Ino jęk poszedł po narodzie! Już się caluśka wieś na ony dziw zleciała, a Jasiek wytrząsa i wytrząsa... Nawalił tego dobra wielgaśną kupę, a migotliwą, jaże oczy bolą od patrzenia. Sam dziedzic przepomniał o gniewie, wąsa kręci, cosik se zamyśla.

Pańskiej miłośnicy znać dali: z puchów się zwlekła, ledwie odziana bieży, piersi ino, kiej

http://rcin.org.pl

te białe gołębie, zapaską tuląca. Wraz panu sekreta szepce, a oczy jej się niegorzej od kamieni palą.

Nachmurzył się dziedzic. Skarby nakazuje zbierać, na Jaśka kiwnął ino:

— Do dwora za mną!

Stoi Jasiek w komnacie, rozgląda się, kiej po kościele, pańskiego słowa czeka. Czeka chwilę, czeka drugą — pan, by gradowa chmura, z kąta w kąt się tłucze, coraz to do skrzyni podejdzie bogatej, pas wyjmie, ostrogą pobrzęka, i znów wieko zatrzaśnie z hukiem. Czegości ciężko wzdycha... Dopiero jęła go panna ramionami obłapiać, miodowe słówka toczyć, a łasić się, a przymilać... Aż i zakrzyknął:

— To już sam weź ze skrzyni!

Przypiął se Jasiek złote ostrogi, do pasa się bierze, hale go pan strzymał.

— Czekajno! Klęknij!

Szablę bogatą przyniósł, ucałował, Jaśka nią dwa razy bez plecy przemierzył sielnie, dopiero mu ją u pasa wiesza. Wstał Jasiek, panu się nisko kłania, a mina za katy harda.

Poweselał pan, bo mu się niezgorszy rycerz widzi, i na służbę klasnął:

— Toś ty teraz, jako i ja pan! Siadaj, bracie, za stołem, a wraz i na łowy czas będzie!

Prześmiechnął się Jasiek leciuchno.

— Kiej mi, panie, niesporo ze szablą za stół siadać, łowy też lo mnie nie zabawka.

http://rcin.org.pl

Nie w smak panu te słowa, hale nic po sobie nie pokazał.

— Ha, to i z Bogiem!

Jaśka pod ramię ujął, na ganek prowadzi, źrebca dać mu nakazuje tęgiego. Dziwuje się służba, jaże pan na nich z góry:

— Strzemię podaj jeden z drugim, bałwany! Nie widzisz, że wielmożny wsiada?!

Ruszył Jasiek z kopyta we świat, na sprawy. Pan za nim z ganku patrzy, a wzdycha, piersiami, kiejby miechem, robi...

http://rcin.org.pl

W CUKIERNI

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W cukierni na górze od samego początku niedobrze wróżono małżeństwu pana Ignacego. Znali go tam niektórzy od dziecka, od takiego — o! — pędraka, kiedy jeszcze z niedopiętemi spodenkami za latawcem po kamienicznym podwórku pędzał, a ś. p. ojciec, introligator, wysunąwszy z warsztatu łysą czaszkę, z ukrytym za plecami rzemykiem, wabił go miękkim głosem: „Chodź, Ignaś! chodź! — coś ci pokażę"... Mimo przykre doświadczenia Ignaś szedł i brał wnyki, drąc się wniebogłosy ku serdecznej uciesze zebranych pod oknem rówieśników. Niedojda bo był, a łatwowierny dziwnie. Szkoły szły mu niesporo, że to i „wsypywał się" wiecznie za własne, czy cudze winy, a i wiedza, szczególniej ścisła, ma swoje ciernie...; odetchnął też z ulgą, gdy za bezskuteczne poszukiwania przekątni w trójkącie „wylano" go wreszcie z piątej klasy z łoskotem, ojciec zaś, klnąc i szewcem grożąc, wyszukał mu miejsce ucznia w sklepie bławatnym. Tu dopiero znalazł pan Ignacy właściwe zastosowanie! Podnosić i spuszczać żaluzje, po drabinkach łazić, biegać po mieście, a zawsze w zrozumiałym interesie, z celem konkretnym i jasnym, to

http://rcin.org.pl

nie jakieś tam dowodzenia dawno i lepiej dowiedzionych, a dziwnie obojętnych twierdzeń! Harował na umór, z zamiłowaniem, pierwszy wchodził, wychodził ze sklepu ostatni, zawsze sumienny, uczciwy, pogodny... To też, dobiegłszy ćwierćwiecza, i pensję miał niezgorszą, a nikomu nie było tajnem, że skąpy na pochwały pryncypał w rzewniejszych momentach mianuje go perłą między subjektami i filarem interesu.

W kamienicznym klubie, na bilardowej górce, zwano go co prawda mniej poetycznie, po prostu „wołem roboczym". Ale nie wszyscy nadawali tym wyrazom ironiczną tendencję, o nie!—może nawet większość zawierała w nich swe uznanie dla pana Ignacego... Bo że taki tam Długi, co się z piramidki utrzymuje, machał przytem pogardliwie ręką, — no, toć wiadomo, czym jest Długi. Nie może mieć szacunku dla pracy ludzkiej, kto naciąga uczniaków, udając, że grać nie umie, albo w nocnych kawiarniach poluje na partję po rubelku z pijanemi gośćmi. „Artysta"... jak słusznie i ze zwykłym dowcipem mawiał o nim pan Feliks, fryzjer. Zato u poważnych bywalców pan Ignacy cieszył się szacunkiem, wzrastającym proporcjonalnie do corocznej podwyżki; nawet markier, pan Aleksander, ów pełen mizantropji pan Aleksander, który samemu panu Welkesowi — co to ma własny kantor na rogu, jest Anglikiem i prawie że mówi po angielsku— nie chce kłaniać się pierwszy na ulicy, dla pana

http://rcin.org.pl

Ignacego znajdował zawsze jakieś miłe słówko, nie wspominając już o nieograniczonym kredycie. A panowie Zielenkiewicz, Zawadzki, Perlbaum... ktoby zresztą wszystkich wymienił! — cały ów populus górki bez mała za zaszczyt uważał sobie niedzielne domino z panem Ignacym.

Teraz pytanie: skąd taki człowiek może przyjść do żeniaczki z chórzystką? Predyspozycja, nieszczęsna predyspozycja! Od chłopięcych lat ciągnęło pana Ignacego w stronę teatru, a równocześnie z obfitszym zarostem ustalił mu się w duszy ideał kobiety-artystki. Szczególniej śpiewaczka, diva... bogowie! — sam dźwięk tego wyrazu fascynuje, nie dopiero lekki, roześmiany, nad miarę rozkoszny jego przedmiot. Zawsze, ilekroć któraś z tych dam, niepojęcie szeleszcząc jedwabnemi dessous, zwycięsko wkraczała do bławatnego sklepu, pan Ignacy tracił głowę momentalnie; mienił się, wszelkie okrągłości więzły mu w gardle, a stereotypowo-słodki uśmiech drgał i wiądł na licach, jak zerwany mak w gorącej ręce. Kosztowało go to nieraz, bo jakże kłócić się o kopiejki z boginią? Lepiej dołożyć samemu... Tak, tak. I trzebaż przy takim usposobieniu, żeby go pryncypał wysłał z rachunkiem do garderoby operetki!... To jakby owcę pchać do lwiej jaskini! Pan Ignacy poszedł, rzec można, z sercem w dłoniach, gotów złożyć je każdej w ofierze. A przyszła pani Ignacowa miała

http://rcin.org.pl

właśnie różowe trykoty i zamiast r mówiła h... No i...

Dość, że górka wcale nie aprobowała tego małżeństwa. Przeciwnie. Na pierwszą wieść o zaręczynach „dyrektor" Sandecki, stare i doszczętnie wypłowiałe kabotynisko, wzniósłszy czarnozielone brwi do równie ubarwionych kotlecików i z artretyczną elegancją kiwając wskazującym, o ogromnym, a cudzym sygnecie palcem, wyrzucił ze spróchniałej paszczęki zdumione i radosne: „Ho, ho, ho!" I zaraz zakaszlał się, czy zaśmiał — „he, he!..." A nikt lepiej od dyrektora nie zna sfer artystycznych. Na górce zaprzestano mu nawet ręki podawać z powodu krzywdzących insynuacji pana Welkesa, że ponoś gdzieś tam... komuś coś ułatwia... z Erosa zyski ciągnie... Zato w kwestji cnót tej lub owej dziewicy z teatru dyrektor wyrokuje bez apelacji. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy miejscowy Don Juan pan Sikorski, odrazu w czasie uczty weselnej „brał się" do panny młodej obcesowo, choć z właściwą zawodowi dystynkcją, a złośliwi jedynie fatalnemu nadużyciu gorących trunków przez Don Juana przypisywali nie natychmiastowe uwieńczenie jego miłosnych zabiegów... Lecz tylko złośliwi, bo i cnota pani Ignacowej miała również swych wiernych: przeważnie ludzi poważnych, żonatych, dzietnych, ze stanowiskiem. Obie strony przepierały się na górce co wieczór, kantorowicz Perlbaum urządził nawet

http://rcin.org.pl

małego totalizatora na boczku... „weźmie, nie weźmie... można i na francuski... hi, hi!..."

Pan Sikorski wypłynął na widownię publiczną. Podjudzany przez swą partję zdumniał nad miarę, w samych już ruchach nabrał godności, rozumiejąc, że każdy jego krok teraz jest czynem poniekąd społecznym. Cała ambicja Don Juana spoczęła w upadku pani Ignacowej: do sparciałej rzodkwi da się porównać jego męski prestige, jeśli on, „brat cioteczny" wszystkich szwaczek dzielnicy, on, bezinteresowny „Kizia" niejednego, jak się chełpił, „dmimondu", którego i doktorowa nie zdziwi, on — nie poradzi sobie z chórzystką! Pan Sikorski bywał u Ignacostwa, bywał wytrwale, aż do siódmego potu. Warunki przemawiały za nim: bo to i przystojność, i aksamitne tony w głosie, a nadewszystko multum wolnego czasu, którym, jako ajent od ogłoszeń, rozporządzał do woli, podczas gdy pana Ignacego noc zwalniała od orki. I mimo wszystko historja trwała coś przeszło pięć miesięcy... „Nawet i diva-dziewa — ma swoje niespodzianki", — wedle subtelnego aforyzmu pana Feliksa, fryzjera. Don Juan zżółkł z wściekłości, otrzymując na swe zaklęcia i prośby ze słodkich ustek pani Ignacowej jedynie rozemdlone wyznanie: „Kiedy bo... kiedy on taki dobry"... Przez długie pięć miesięcy.

Któregoś wreszcie dnia pan Sikorski przyszedł na górkę z promieniejącym obliczem i cięż-

http://rcin.org.pl

ko opadłszy na najbliższe krzesełko, że to niby zmęczony, wypalił jeden tylko wyraz: „Jest". Dopieroż zerwała się burza! Nawet markier z panem Welkesem, obaj nie biorący czynnego udziału, przerwali grę po złotówce i, wsparci na kijach, ciekawie nadstawili ucha. A partje! partje!

— Nasza wzięła! Całą długość wzięła! Wiwat, Sikorski!! — darł się totalizatorowicz Perlbaum, biegając od stolika do stolika. — Kto mówił, jak nie Perlbaum mówił! Bravo, Sikorski! Bravissimo, Sikorski.

— A podstaw który temu wróblowi kija, żeby ustał! — huknął z kąta grzmiący bas pana Wrześniewskiego z przeciwnej partji.

Ale go nikt nie słuchał.

— Sikorski!! Sikorski!! Dać go tu! — wrzeszczały zewsząd radosne głosy.

— Tęgi chłop!

— Nie od parady wąsa dźwiga, oho!

— Niczem francuska kwadra do środka!... Wlazła, jak strzelił! — podziwiał melancholijnie Długi, od rana pozbawiony okazji do wykazania swego kunsztu.

— W górę Sikorskiego! W górę!! Dalej raz! Tak... Dwa!

— Złoto, nie chłop! Pięć miesięcy chodził, a na pewniaka!

— Cicho, cicho!

— Czego Perlbaum cicha? Sikorskiego w górę!

http://rcin.org.pl

— Cicho, mówię!!

— Dajcie Perlowi mówić, to Baum posłucha!

— Niech opowie swojej babce...

— Cicho, do djabła!! niech sobie pomówi!

— Ja wam co powiem, chłopcy! My potrzebujemy szampana na ten wypadek!

— Słusznie mówi!! Słusznie! Dać szampana!

— Oho! ten ma rozum! Rozwiązać Sikorskiemu język!

Niejaki „Tatar", indywiduum o zgoła tajemniczych środkach utrzymania, serdeczny zresztą Długiego przyjaciel, zaczął obchodzić salę z pogiętym melonikiem, a miną tak uroczystą, iż co naiwniejszy mógłby zaprzysiąc bezinteresowność jego zamiarów. Spotkawszy się jednak z ogólną nieufnością, bez obrazy odstąpił tej funkcji panu Feliksowi. Sympatje partyjne wystąpiły teraz na jaw z oczywistością: antagoniści, rozumie się, nie dali nic, pan Welkes zawiadomił zgromadzonych, że gdy zechce, ma szampana — Mumm, extra dry — u siebie, a pan Aleksander wzruszył poprostu ramionami. Mimo to, zebrawszy wcale pokaźną sumkę, pito z całego serca. Triumfator Sikorski już po godzinie padł ofiarą swego zwycięstwa i musiał być wywleczon z zakładu przez rozrzewnionych druhów; reszta darła się, wiwatowała i lała w siebie bez pamięci. Na „tych od cnoty" sypały się docinki coraz ostrzejsze, przechwałki coraz bezczelniejsze. Długi, rozwalony na krześle, jak basza, wyzbywszy

http://rcin.org.pl

się doszczętnie wrodzonej małomówności, krzyczał poprzez oba bilardy do grawera, pana Zielenkiewicza.

— Panie Zielenkiewicz, partyjeczkę, co? Uczciwie; jak Bozię kocham nie o pieniądze! Pańska żona, — moja żona... idzie? A żem kawaler-sierota, dam Krzywą Mańkę w zastępstwo... Jazda, panie!

— Odczep się pan, tłumaczę panu grzecznie!

— Ja przecie tak... po przyjaźni! Nie chce pan Mańki, będzie Ignacowa!... U nas to piorunem.

— Albo dziedziczka, jak z hrabią z wojażu wróci!... he, he... — wtrącił z boku Tatar z błogim uśmiechem na ospowatej gębie.

Pan Wrześniewski zerwał się, zaperzony, ciężko dysząc.

— Ja ci, Tatar, mówię!... Stul pysk, chamie jeden, bo na marmoladę spiorę!!

A już i Tatar się podniósł.

— Z czym do gościa? Nie ostro, nie ostro, panie pan, bo wywróci!...

Bóg wie, do czegoby doszło, gdyby w ten wojowniczy nastrój nie wpadł suchy, spokojny głos markiera, jak zawsze trochę śpiewnie i z rosyjska:

— A ja panom radzę bez awantur. Ot co!

„Rady" pana Aleksandra ze względu na jego niezwykłą siłę umiano cenić już w wojsku, za podoficerskich czasów; cóż dopiero tutaj, gdzie naturalny autorytet markiera i dzierżawcy bi-

http://rcin.org.pl

lardów powiększała jeszcze potęga finansowa. Rzadko kto nie był w interesach z panem Aleksandrem, który, według tajemniczych wersji, posiadał nawet własny dom w Wilnie. Ba, ba— pan Aleksander! Wystarczyło mu teraz szepnąć kilka słów do Długiego, a wyniósł się natychmiast z Tatarem, posłuszny, jak jagniątko; cnotliwa partja też się rozeszła po kominkach. Jedyny pozostały gość, pan Welkes, wypuściwszy bez pośpiechu ogromny kłąb dymu, mrugnął na pana Aleksandra znacząco:

— Hołota, hm?...

I zaraz wydął dolną wargę.

Tak, tak! Umiał pan Aleksander załatwić się ze swą czeladką, lecz i w jego ręce nie daną była władza nad duszami. Skandalu, zajmującego umysły przez pięć miesięcy, nie wyrzuci z głowy na czyjś rozkaz — to trudno! Tembardziej, że awantura podnieciła tylko ogólne zainteresowanie. Przez kilka jeszcze wieczorów adwersarze boczyli się wzajemnie, sytuacja trwała w naprężeniu, lecz szukano wyraźnie jakiegoś modus vivendi. Więc też pełną taktu uwagę pana Feliksa, że, „właściwie, o co chodzi? przecie to Ignac wszystkiemu winien!“ — przyjęto z zapałem, jako złoty most do powszechnej zgody. Szczególniej „cnotliwi“ chwycili się tej myśli żarliwie. Oczywiście, że Ignac winien! Co mogło być innego z tego małżeństwa? Na co się, zresztą, zdało bronić honoru byle osła?

http://rcin.org.pl

Jak po raptownym odszpuntowaniu napełnionej beczki, lunęły wyzwiska i kpiny na Ignacową głowę.

— Trąba olchowa!

— Walić było w babę, jak w puzon, zarazby jej odeszło!

— Ja bobym grosza nie dał, czy on co... wogóle... Że to o dziecku ani słychu!

— Mokry pudel!

— Bizunów na takiego mało!

Pan Sikorski teraz dopiero rozpoczął obfite żniwo powszechnego uznania. Na niedyskretne zagadnienia górki dawał wyjaśnienia wyczerpujące, opisy i przemilczenia tak subtelne, przyzwoitość łączył z wdziękiem tak pornograficznym, że słuchaczom, co młodszym, występowały na lica ceglaste rumieńce, a starsi dusili się po kątach od krótkich, łaskoczących śmieszków... Ach, ci starsi, poważniejsi! Badali rzecz gruntownie, walcząc o szczegóły i szczególiczki. Ciekawość ich miary nie znała. A co? a jak? a gdzie? Taki pan Wrześniewski, choć niby ciągle tyłem do Tatara i Długiego zwrócony, ku ich zresztą ironicznej uciesze, przy każdym z rzewniejszych ustępów opowieści walił się po kolanie, aż trzeszczało:

— Dobrze zrobione! Niema co, panie, majster z młodego!

Był to zaś pewnie najłagodniejszy wyraz ogólnych uczuć.

http://rcin.org.pl

I w taką to atmosferę padło którejś soboty zdanie, jednym ciosem burzące gmach osiągniętego spokoju. Podczas miłej konwersacji o znamieniu pod lewem ramieniem, grawer, pan Zielenkiewicz, znany co prawda przekora i wątrobiarz, wysłuchujący dotąd wszystkiego w złowróżbnym milczeniu, ni z tego ni z owego roześmiał się prosto w nos panu Sikorskiemu:

— Ta, ta, ta... W gębie pan mocny... Tylko że na szczekanie każdego stać!

Jakby kto płonącą głownię w proch cisnął. Sikorski zbladł.

— Jak to pan rozumie?!

— A tak to!... właśnie! Daj pan dowód, to uwierzę!

Zapadła zdumiona cisza. Cóż to ma być znowu?! Wątpi? Sam jeden przeciw wszystkim? Całą górkę, która z nabożeństwem słucha, ma za durniów, czy jak? I cóż ten Sikorski? Cóż on na to? Miesza się... Języka w gębie zapomniał?...

— Przecie mówię panu... Znamię...

Zielenkiewicz nabiera tonu złośliwego triumfu...

— Znamię, znamię!... Pan ma na rozumie znamię... i to ciężkie! Tak, panie.

Sikorski odmruknął ledwie pod nosem... Ale już pan Feliks w imieniu ogółu podejmuje rękawicę z właściwą godnością:

http://rcin.org.pl

— Więc pan Zielenkiewicz dowodu żąda... tek, tek!... I nie wierzy?

— Ani krzty!

— A o dowód trudno... Bo, na ten przykład po szczypaniu choć ślady zostają, a gdybym zechciał tych panów przekonać... no, toć połowicy pańskiej oględzinom publicznym poddać nie wypada... tek! Że to i szacuneczek ogólny, i wiek nie po temu...

Sala ryknęła z ulgą. Ha, ha, ha, ten pan Feliks! Najmniejszemu smykowi z podwórka wiadomo, że pulchne wdzięki pani grawerowej pokryte są sińcami, jak po obcęgach, i że to znaki karesów czy gniewów małżonka. Dogodził mu, ha, ha! Pan Zielenkiewicz aż syknął w pasji:

— Błazeństwo! A ja dalej chcę dowodu i za kpa mam każdego, kto wierzy byle ładnym oczom...

— Hola, hola! Miarkuj się pan!

— Panie grawer! Żeby kto panu w co nie wyrżnął!

— ...bo to i królową hiszpańską oszczeka! Byle się pies znalazł! Tfu!

— Patrzcie go! Moralista!

— Cacko wątrobiane!

Zielenkiewicz zapamiętał się w złości. Tupiąc nogą, wrzeszczał opętanym dyszkantem:

— A ja nie wierzę, nie wierzę, i nie wierzę!

— To sobie nie wierz, o! Prosić go pewnie...

http://rcin.org.pl

— Ładny mi kontroler!

— Nie wie-e-erzę!!

— Poszczyp własną nogę, to ci ulży!...

Hałasowano, by zdusić własną niepewność. Bo że dowcip pana Feliksa nie przesądza sprawy — toć jasne! Tu trzeba arugumentów rzeczowych, dowodów bitych, namacalnych. A cóż Sikorski? — ani mru-mru... Siedzi, jak przymurowany, rozciera czoło i myśli. Iii... czasu szkoda: taki prochu nie wynajdzie! Wskazując go sobie oczyma, wzruszano ramionami z irytacją.

Nagle Sikorski wstał. Pst! Pst!... będzie mówił. Zaległa kościelna cisza. On zaś wytknął palcem Zawadzkiego, subjekta w sklepie galanteryjnym. Pytania i odpowiedzi rozbłysły, jak szpady w słońcu.

— Panie Zawadzki! We wtorek była Ignacowa w sklepie?

— Była.

— O podwiązki chodziło? Tak?

— Tak

— Pozna je pan?

— Oj-oj!

— Dobrze! Dziękuję panu.

Teraz zwrócił się do sali. Spojrzał dumnie, owiewając wszystkich natchnionemi oczami, jak czarnym atłasem. Słuchajcie! Słuchajcie! Pan Zielenkiewicz otrzyma żądany dowód! Słuchajcie! Jutro o trzeciej, podczas Ignacowej gry w domino, on, Sikorski, odwiedzi samotną małżonkę...

http://rcin.org.pl

— Bravo, bravo, Sikorski!

— To głowa!

Cicho! jeszcze nie wszystko! Otóż: odwiedzi samotną małżonkę, a, jako trofeum, przyniesie z tej wyprawy podwiązkę, kupioną u pana Zawadzkiego. Czy to niewiernym Tomaszom wystarczy?... Pan Zielenkiewicz milczy? Więc mu wystarczy. Cicho!! Dla uniknięcia zaś przykrych zawikłań, Tatar, w razie niebezpieczeństwa, da znak chusteczką z okna.

— Idzie, panie Tatar?

— Idzie! Co ma nie iść?! — Tatar aż się zachłysnął pod nadmiarem zaszczytu.

Sala zawrzała. Lecz pan Sikorski nie daruje ani kropelki z zamierzonego efektu! Ciszej! Chwilę tylko! Odziawszy lica miękkim uśmiechem, pytał już wprost ponurego grawera:

— Pan Zielenkiewicz pozwoli, że owo corpus... tego... delicti... złożę w hołdzie szanownej żonie pańskiej?

To się nazywa wykwint! Niedarmo pan Sikorski cieszy się powodzeniem nawet w wyższych sferach.

Pan Zielenkiewicz, zmierzając ku wyjściu, mruczał z kolei półgłosem:

— Poczekaj! Jeszcze się narwiesz! Jeszcze ci tego pomadowanego łba nabiją, tryku!

Lecz ktoby nań jeszcze uwagę zwracał! Entuzjazm wybuchł, jak huragan. Co się tam wtedy działo! Taki Perlbaum, chwyciwszy się za skro-

http://rcin.org.pl

nie, jakby w napadzie migreny, biegał wzdłuż bilardów, kiwając się w zachwyceniu.

— Ja wam powiem, ten Sikorski! Aj, aj, aj, co to za głowa! co to za głowa! Jemu ministrem być, jemu redaktorem być z taką głową! Co to ministrem?! co to redaktorem?! — jemu bank założyć z miljonem obrotu!! Ja byłbym u niego wtedy za portjera, ja miałbym piękny dochód!

I stanąwszy nagle pośrodku sali, zamachał konwulsyjnie rękami, czerwony ze wzruszenia.

— Ja tu jutro cały kantor sprowadzę! Co kantor?! — cały dom! całą ulicę! Niech patrzą! Niechaj się uczą! To jest niesłychany witz! To jest... aj, aj, aj! to jest ciastko! to jest ananas!

Cała kamienica była w ruchu tego wieczora. Sensacyjna wieść rozległa się po wszystkich piętrach od suteren aż do poddaszy, zajrzała nawet na frontowe schody, budząc wszędzie jednako potężny efekt. Bo też przedsięwzięcie wprost niebywałe! Tak w biały dzień, w oczach prawie męża, wobec tłumu świadków — widziane to kiedy rzeczy?! Cóż wobec tego rodzina? moralność? Pusta skorupa, niesmaczny żart z łatwowiernych! Już i tak oburzenie poważnych lokatorów, sarkających na górkę, jako na siedlisko społecznego rozkładu, granic nie znało. Niejedna co młodsza żona spłakała się serdecznie pod chłostą niesprawiedliwych zarzutów, a i mężowie starszych, tłukąc się po mieszkaniu w pan-

http://rcin.org.pl

toflach. z surową groźbą w oczach rozpamiętywali przeszłość małżeńskiego pożycia, „bo to nic, nic... a djabeł nie śpi...“ Tylko pana Ignacego nikt nie ostrzegł.

Nazajutrz już o drugiej górka była pełna, jak nigdy. Wokół bilardów i stolików snuły się dawniej nie widziane twarze, zwabione wieścią o skandalu. Dwu studentów z czwartego piętra zajęło miejsce w kącie, wysunąwszy pogardliwie nogi na środek i nie usuwając ich przed nikim, prócz markiera. Powszechną konsternację wywołało wkroczenie Długiego z kolegami o tak interesującej powierzchowności, że pan Aleksander widział się zmuszonym do interpelacji i pozostawił ich dopiero wobec solennej obietnicy taktu i milczenia. Zresztą starzy bywalcy sprytnie obsadzili okna od podwórka, naprzeciw mieszkania pana Ignacego. Coś się chyba półrocznym promotorom akcji należy! Nie brakowało nikogo: ba! — pan Zielenkiewicz, nienawistny pan Zielenkiewicz, siadł sobie najspokojniej z jadowicie zaciśniętemi ustami obok studentów, ani zważając na ogólne sykanie.

Trochę przed trzecią wpadł przedziwnie elegancki pan Sikorski. Żółta laseczka, jak batuta, nakazała milczenie entuzjastom — czasu mało.

— Tatar jest?

Od okna wionął olbrzymi czerwony fular.

— Mnieby nie było? Sygnał sprawiłem, że choć na kolej! Patrz pan, o!

http://rcin.org.pl

— Później! Partja dla pana Ignacego gotowa? Pan Wrześniewski, pan Feliks, dobrze... no i? I kto?

Perlbaum zaniepokoił się.

— Dla czegobym ja nie miał zagrać? To będzie ciekawa partja.

— Pan?

— No ja. Ja gram, jak każdy inny, może lepiej, może dwa razy lepiej! Ja pana proszę...

— Ale dobrze, dobrze! Uff...

Pan Sikorski opadł na najbliższe krzesło, ocierając batystem uznojone czoło. Z głęboką satysfakcją udawał, że nie widzi natrętnych spojrzeń obcych przybyszów, poił się pełnym uznania pomrukiem tłumu... Uczucia te pokrywały w nim tajemną niepewność, bo nuż się Ignac dowie? Dla zmożenia strachu, subtelnemi ruchami wystawiał na pokaz kremowe, wysoko podwinięte spodnie i lakierowane półbuciki.

Naraz od podwórka załopotały przyciszone szepty: „Idzie!... idzie!..." Rzucono się gwałtownie do okien z taką żarliwością, jakby pan Ignacy miał wyglądać inaczej, niż codzień. No tak — idzie. Średniego wzrostu, krępy, o łagodnie siwych oczach na starannie wygolonej twarzy. Uwaga, uwaga! stanął. Mrużąc powieki przed odbitym w szybach słońcem, patrzy w okna swego mieszkania. Sekunda. I zaraz kroczy dalej z uśmiechem. Ten prosty ruch wywołał nieme poruszenie zebranych: jakby wyrażając ogól-

http://rcin.org.pl

ną myśl, pan Zawadzki przeciąga z niejakim zdumieniem:

— Ooo... obejrzał się...

Dyrektor, wykrzywiając gumowe oblicze, akcentuje również:

— Pożegnanie... tego... czułej Andromachy... he, he!...

Nikt go nie podtrzymał. Wszyscy zajęli poprzednie miejsca, nie odrywając wzroku ode drzwi, ogarnięci niejasnem wrażeniem, ni to wstydu, ni to podniecenia. Liczono mijające chwile. Teraz wszedł w bramę... jeszcze kilka kroków... boczny korytarzyk... i jest. Jest rzeczywiście. Sikorski drgnął niespokojnie. Że też mu strzeliło siąść na samym brzegu!

Pan Ignacy uścisnął podaną dłoń kordjalnie.

— Panu Sikorskiemu!... Jakże interesa? Kulejący, lecz idące, co?

— Tak... dziękuję. Pomalutku...

Uff! Sikorski z ulgą pełną złośliwej radości, podziwia głupie miny współtowarzyszy, których pan Ignacy obchodzi kolejno z powitaniem. Każdy jakby garść pieprzu połknął! Długi tylko szczerzy mu zęby w same oczy. No, ale — Długi!

O parę kroków od dyrektora pan Ignacy skręca na pięcie. Ów posłał momentalnie wzrok w przestrzeń i przygotowaną prawicą bębni po blacie stołu, niby w zamyśleniu.

http://rcin.org.pl

Jeszcze kilka wyciągniętych dłoni. — Dzień dobry kochanemu panu Aleksandrowi! Godbay, panie Welkes! — no, chyba wszyscy? Nie, z kąta, jak rozsypany po blasze śrut, biegnie skrzeczący, przesadnie uniżony głos pana Zielenkiewicza:

— Najniższy szacuneczek panu Ignacemu dobrodziejowi! Za zaszczyt sobie... he, he... uważam powitać...

— A, pan Zielenkiewicz! Jakże zdrówko małżonki?

Sikorski zdrętwiał. Djabeł wie, co staremu do łba strzeli? Wygada ze złości — i co?! Serce tłucze się w nim rozpaczliwie. Lecz nie, nic... dzięki Bogu... Pan Ignacy zwrócił się teraz do ogółu:

— No, jakże tam z dominem? Partyjeczkę, niedrogo...

Wszyscy opuścili głowy, niby na komendę, przesyłają tylko nawzajem inteligentne spojrzenia. Sam lezie, jak gil w matnię. Aż dziwne!...

— No, panowie! Czas, to pieniądz!

Pan Feliks ledwie wykrztusił w zakłopotaniu:

— Ależ koniecznie, koniecznie z panem... O! i pan Wrześniewski... dobrze? co? Perlbaum może?

Rządca odmruknął coś niewyraźnie przez wiechy wąsów. Perlbaum zato okazał się pełen bohaterskiej decyzji:

— Ja? Jestem oddawna gotów!

http://rcin.org.pl

Oddano im najwygodniejszy stolik, usuwając się pośpiesznie, jakby na rozkaz. Ta usłużność i naprężone milczenie na tak hałaśliwej zwykle górce przejęły Sikorskiego nowym strachem, aby pan Ignacy czego nie spostrzegł. Lecz nie. Nie widział ani zmieszanych min otaczającej galerji, ani wyraźnej kpiny w oczach Długiego, ani plugawych uśmieszków dyrektora. Gra rozpoczęła się na dobre.

Wówczas poszeptawszy z Tatarem, Sikorski ruszył ku wyjściu, czując na sobie wzrok całej górki. Koło samych drzwi, w zupełnym już bezpieczeństwie, skłonił się z ironją.

— Uszanowanie panu Ignacemu!

— A do widzenia, do widzenia... Teraz, panie Perlbaum, mydełko — i szlus.

Ciężki nastrój prysł wobec komizmu sytuacji: sala parsknęła śmiechem. Tego już było za wiele panu Zielenkiewiczowi! Czerwony z gniewu, zaklął siarczyście:

— Tfu! Psiakrew!

Odpowiedział nowy wybuch śmiechu. Wtedy wyszedł, trzasnąwszy drzwiami z łomotem. Wesołość rosła. Śmieli się dalej, zaraźliwie, pobudzani naiwnym zdziwieniem pana Ignacego. Nie, — nic, nic — tak sobie... Stary zwarjował najwyraźniej, robi awantury bez żadnej przyczyny. Sikorskiego znieść nie może. Zazdrosny chyba o żonę, kto wie? Ha, ha!...

http://rcin.org.pl

Uspokojono się pomału. Wobec braku nowych podniet górka przybrała normalny wygląd; bezczynnym zaczęło być nudno. Siaki taki wychodził na miasto, obiecując sobie wrócić później, na zakończenie. Sala pustoszała. Nawet Tatar z chusteczką darł ziewaniem ospowatą paszczękę, drażniąc się dla rozrywki z dzieciakami na podwórku. Długi, po pracowitej namowie, skłonił wreszcie jednego ze studentów do partyjki i ogrywał go teraz z precyzją i żartobliwym szacunkiem. Dobiegało tylko suche łomotanie zderzających się bil i częste sprzeczki przy dominie. Bo gra wzięła tam obrót wcale nieoczekiwany. Potrzebna li dla odwrócenia uwagi bohatera, zamiast zostać reżyserskim intermezzo w zabawnej komedji, stała się zwykłą, ordynarną grą o zysk i stratę. Perlbaum pojąć wprost nie mógł, co się to dzieje! Czy on siadł przy stoliku, żeby przegrać do pana Ignacego pięć rubli? Albo żeby napchać kieszenie panu Feliksowi? Małe dziecko zrozumie, że nie. On tylko dla żartu, dla śmiechu wdał się w ten głupi interes. A tu już pięć rubli poszło — i co dalej, co dalej? Każdy świeżo wyjęty pieniądz przewracał mu żółć boleśnie. Czy jemu chodzi o wszystko? Nie, już tylko trzy ruble odebrać, własne trzy ruble! Niech ich zresztą djabli! O!... ta partja prawie wygrana: wiedzieć tylko, co ten gruby, sapiący szlachcic trzyma w palcach. Tylko tę jedną bagatelkę, taki drobiazg...

http://rcin.org.pl

Raptem huknął zaperzony bas pana Wrześniewskiego:

— Niech mi tu Perlbaum nosa nie wtyka, bo mu go skrócę! Patrzcie-no!

— Gdzie wtyka?! Jakie wtyka?! Pan dziedzic spał, niech się pan dziedzic obudzi!

— Milczeć! Zębów mi nie zamawiać, kiedym widział! To u siebie!... Na Nalewkach!... sposoby!...

Perlbaum zerwał się, roztrzęsiony, jak galareta.

— No i czego się jaśnie dziedzic ciska?! On teraz nie na swojej wsi, on teraz w meldunkach gospodaruje i nie musi być taki dumny! A że dziedzic dwa ruble przegrał, to ja mogę oddać! Dla mnie żaden cymes!!

— Bodajeś zdechł!...

— Co to zdechł?!! Co to za gadanie jest?! Niech dziedzic sam zdechnie!

— Ależ panowie!... panowie!...

Wrześniewski, purpurowy z gniewu, kipiał, jak zapomniany na kominie sagan. Nic nie pomogły łagodzące giesty pana Feliksa.

— Ja do sądu, panie... całą sprawę!... Żeby mi taki, panie, żydziak!!...

— Do sądu, to do sądu! Oj, oj! Zaco on mi będzie wymyślał?! Czy kto co widział? Może pan Feliks widział? Nie?! Może pan Ignacy widział?!

http://rcin.org.pl

Przekrwione oczy pana Wrześniewskiego ledwie nie wyszły z orbit na taką bezczelność; wyciągniętemi rękami domagał się boskiej i ludzkiej sprawiedliwości. Pan Ignacy bąknął niechętnie:

— Ano... że raz zerknął, tom widział. Tylko poco zaraz hałasy...

Perlbaum aż podskoczył na miejscu, nie dbając już o przeciwnika. Dusząca, jak zatruty żar, wściekłość na pana Ignacego odebrała mu wszelki rozsądek. Jak to?! Co on sobie, ten głupi Ignac, myśli? Czy nie przezeń Perlbaum wpakował się w te historje? Nie do niego przegrał pięć rubli? A jeszcze taki wstyd, na całą salę wstyd!

— Co pan Ignacy widział?! Co on może widzieć?! On wcale oczów nie ma! On nie zobaczył nawet, co jemu się żona puszcza! No tak! Co się pan patrzy? Ja się tego patrzenia nie boję! Z Sikorskim się puszcza!... w tej chwili właśnie!...

Nagle uchylił się pod stół, na swoje szczęście dość szybko, by pięść pana Ignacego trafiła tylko w wysunięte ramię. I zaraz potężne szarpnięcie wywlekło go na środek sali, mimo rozpaczliwe krzyki:

— To rozbój jest! To kryminał jest! Aj! aj!

Subjekt trząsł nim, jak starym workiem, dysząc ciężko, z oczyma, obłędnie wlepionemi w pobladłą twarz ofiary. Spotkawszy się z je-

http://rcin.org.pl

go mętnym wzrokiem, Perlbaum umilkł nagle. Niby nowe ciosy, spadły nań siłą wypchnięte słowa:

— Gadaj!... łajdaku!...

Zatrajkotał z pokornym pośpiechem:

— No, ja zaraz powiem! Co ja mam mówić? Sikorski jest teraz u pana... Aj, aj, panie Ignacy, to wszyscy wiedzą, to nie jest moja wina! O! niech pan patrzy, jak Tatar chustką macha! Na co on macha? Coby Sikorski wyszedł! Pan może sam zobaczyć!...

Pan Ignacy pociągnął go do okna bez słowa. Tatar oddalił się szybko, gwiżdżąc. Zaległa długa cisza. Odwrócona, znieruchomiała głowa pana Ignacego odcinała się ostro na białym tle kamienicznej ściany. Szczególniej pęczki nieposłusznie sterczących włosów. Nagle w czarnej jamie sieni, naprzeciwko, zamigotały jasne, szykownie podwinięte spodnie. W tej chwili pan Ignacy odtrącił silnie Perlbauma i, usunąwszy się od okna, z dziwnym na twarzy uśmiechem, przemówił, nie zwracając się zresztą do nikogo:

— Bo to ja sam zaprosiłem pana Sikorskiego... Tak.

Wśród ogólnego milczenia przeszedł bezsensownie kilka kroków i, znalazłszy się obok swego stolika, mimowolnym ruchem zgarnął rozrzucone kostki domina. Jakby na coś czekał. Ciężko chlasnęły porzucone drzwi. Z kapelu-

http://rcin.org.pl

szem w ręku, nie patrząc na Sikorskiego, odezwał się znowu, teraz już do niego wyraźnie:

— A... pan był u mnie... jakeśmy się umówili... To dobrze.

I wyszedł. Widziano go jeszcze z okna, jak kroczył przez podwórko, zwyczajnie, może tylko zbyt sztywno.

Sikorski osłupiał. Co to znaczy? Co się tu stało? Na gorączkowe pytania dawano mu odpowiedzi szybkie, zbywające. Miast poprzedniego podziwu wiała ku niemu zewsząd zimna niechęć.

— Panie Aleksandrze! Może choć pan powie... Co się tu stało?

Markier spojrzał przez ramię.

— A cóż? Ot, ciesz się pan, że gęba cała...

I naraz, podnosząc głos, żeby wszyscy słyszeli:

— Dziesięć rubli, co miały być „pod słowem" we wtorek, przyniósł pan? A?

— Kiedy bo pan Aleksander... w takiej chwili...

— A ja pytam: przyniósł pan?

— Jutro przyniosę...

— To żeby ja pana więcej na oczy nie widział! Rozumie?

Gdy zaś tamten, wyjąwszy z kieszeni podwiązkę, bełkotał coś pokornego, markier uciął ostro:

— Paszoł won!

http://rcin.org.pl

Po sali przebiegł lekki szmer. Oho! pan Aleksander zaczął po rosyjsku — znaczy: źle! Sikorski zrejterował tak pośpiesznie, że Długi ledwie zdążył dopędzić go za drzwiami. Wszyscy komentowali wypadek po cichu; tylko dyrektor Sandecki uczuł się w obowiązku zaznaczyć swe stanowisko wobec banicji.

— Śliczną ma pan Aleksander rację... Bo to wydyma się, laluś, jakby sama, nie przymierzając, piękna Helena... A tu co? Nie takieśmy widywali za młodych czasów, przy teatrze... ho, ho!

Takie wykręcenie sprawy oburzyło pana Wrześniewskiego:

— Co mi tam dyrektor baje! Racja, panie, bo racja, ale dlatego, że wogóle, panie, szelma, nicpotem było, człowieka w nieszczęście wpędził! Jak tam Ignacemu teraz, co?

Ale już ode drzwi czyhał nań jadowity uśmieszek Długiego:

— Miętkie jest jaśnie serduszko, jak ściereczka... Niektóry gotówby zapomnieć, jak to dziedzic basował wczoraj Sikorskiemu.

— Z byle kim nie gadam! A powtóre: wolno śmiać się z tego, co śmieszne, a ludzka krzywda — to znowu inna rzecz! Właśnie, panie!

Pan Feliks pokiwał głową, aprobując.

— Słusznie, słusznie... I pchać się w nią z brudnemi palcami nie godzi. Tak!

http://rcin.org.pl

— Szczególniej, że pan Aleksander swoje powiedział, a bez kredytu nawet knajpa padnie, nietylko zakład fryzjerski... — ciągnął Długi ze zwykłą melancholją.

Markier interwenjował oschle:

— Ja pana Długiego za kasjera nie godził, tak niema co gadać.

Uciszono się nagle na radosny okrzyk Tatara:

— Patrzcie-no! Patrzcie! Ignacowa wali!

Jeden przez drugiego skoczyli do okien, tłocząc się i popychając. Eks-chórzystka schodziła właśnie z ostatnich stopni. Ładne oczy na zarumienionej twarzy aż pociemniały z tłumionej, widać, złości. Zstąpiwszy na asfalt, kopnęła energicznie tren wspaniałej, bleu-electrique sukni i szła z szumem przez podwórze,—niestety! zbyt może blisko od cukierniannych tyłów. Nagle Długi wysunął swą tasiemcową figurę i, zgięty w biodrach, jak scyzoryk, podawał jej na bilardowym kiju niebieską, odebraną Sikorskiemu podwiązkę.

— Proszę pani! O! Sikorski zwraca, bo pończoszka opadnie!

Buchnął rozgłośny śmiech. Dama obróciła się z roztargnieniem... i odrazu, ruchem wściekłej pasji, zakryła twarz parasolką. Nastąpił nowy wybuch radości, teraz już złośliwej, połączonej z chęcią obrazy. Posypały się ordynarne drwiny, wyzwiska. Tatar wyliczył z pamięci genealogję pani Ignacowej z naciskiem na linję

http://rcin.org.pl

macierzystą, nawet pan Aleksander zaklął głośno po rosyjsku. Oburzona duma męska, dotknięta w osobie pana Ignacego, stanowczo przechyliła ku niemu opinję górki. Długi — dusza, zdawałoby się, do głębin cyniczna, pozbawiona szczypty entuzjazmu — stwierdził teraz z zadowoleniem:

— Ten Ignac! No, no!... Wylał babę na łeb! Lubię!

— A ktoby to takiego, panie, szurgota trzymał?

— Długi rzucił nań z boku ironiczne spojrzenie, ciągnąc spokojnie dalej:

— Tylko, że się chłopisko na nic zmartwi, a szkoda, bo ma krzepę! Co panowie?

— I pewnie...

Zgodnym chórem rozpoczęto ubolewania. Nie godzi się porzucać sprawy w tak bolesnym stadjum; choćby i z własnej głupoty, ale człowiek cierpi... Ba, ba! i jak! Pan Feliks wyraził przypuszczenie, że taki „zcichapękł" gotów się z nadmiaru żalu i energji obwiesić na własnych szelkach. Mało to podobnych wypadków w Kurjerze? Oczywiście, oczywiście — potakiwano zewsząd. Lecz Długiego znów opanował duch cynicznej ironji:

— Iii... Żeby się tak o byle co wieszali, zarazbym otworzył sklep z hakami.

— Dużo pan wiesz!... to trzeba brać psychologicznie!... Słyszałeś pan kiedy?

http://rcin.org.pl

— Nie, pan mnie nauczy... A ja myślę, panowie, urżnąć chłopa setnie — i po krzyku!

— Sam się pan urżnij!

Myśl jednak podniesiono z radosną wrzawą. Jedyna rzecz! Sam pan Feliks opierał się więcej z uporu, niż z przekonania, a resztę ogarnął prawdziwy zapał. Pan Wrześniewski, zbywszy dawnej obrazy, gorąco popierał sprawę wprost w ręce Długiego.

— Bo to, panie, okazać w takiej chwili serce człowiekowi, to jakby go zbawić! Niema, panie, nad życzliwe współczucie!

— Iii... Grunt, że jutro katzenjammerek... i czasu niema się martwić!

— Słusznie mówi! Praktyk!...

— Ba, ba!

Więc jazda, panowie! Składka po dwa rubelki — nóżki na stół! Dalej!

— Zaraz, zaraz! A kto Ignaca sprowadzi?

— Perlbauma posłać! Ha, ha! On piwa nawarzył — niech idzie!

Skurczona w kącie postać zatrzepotała się gwałtownie.

— My tu wszyscy warzyli — dla czego ja mam być jeden? I pan Feliks warzył, i dyrektor warzył, i pan Tatar, i pan Długi! Zaco wszystko na mnie zwalać!

— I ja myślę, że pan Perlbaum wcale nie winowny — dorzucił markier.

Perlbaum odrazu wysunął się na środek.

http://rcin.org.pl

— Ja też mogę dać dwa ruble. Niech będzie — chociażem przegrał.

— Dobrze, dobrze! Ale kto pójdzie?

Dyrektor mruknął niedbale, z pełną gracji obojętnością:

— Choćby ja! Zamiast składki, bo mi dziś właśnie... tego... zabrakło drobnych.

Po jego wyjściu zajęto się gorliwie przygotowaniem uczty. Tatar zestawił kilka marmurowych stolików, wykazując sprawność urodzonego kelnera, reszta towarzystwa kłóciła się hałaśliwie o marki gorących napojów. Martell... Martell, trzy gwiazdki... koniecznie!... Sauterne — butelkę?... no, ze dwie. Szampana za to wcale, bo cóż to, panie, ślub, czy jubileusz? Ha, ha! Zupełnie już ośmielony Perlbaum kręcił się między grupami, jak fryga, co chwila zbiegając do właściwego lokalu cukierni. Wieści o czynie pana Ignacego wywołały sensację i tam. Panna Melanja, bufetowa, osoba nieco sterana przez czas, o biuście, jak mawiał pan Feliks, „przesadnym", posunęła rzewność aż do nakrycia stolików czyściuteńkim obrusem. „Niech wie, biedactwo, że są i dobrzy ludzie..."

Tymczasem dyrektor powrócił sam. Wrócił i siadł najspokojniej przy swoim stoliku, z miną zawsze łagodnie obojętną.

— No i cóż? I cóż?!

— A nic. Zamknął się i nie puszcza.

— Dzwonił dyrektor? Stukał?

http://rcin.org.pl

— Ba! Wołałem, jak na Juljetkę! Głos musiał poznać przeze drzwi — ale nie puszcza.

Pan Feliks namyślał się chwilę.

— Głos poznał, mówi dyrektor?... To pewnie właśnie dla tego...

Wybuchłe śmieszki Sandecki przyjął z tak wytworną nonszalancją, że zgasły natychmiast jak niepodsycany płomyk. Co innego zajmowało umysły. Kto pójdzie? Bo tak wracać ze schodów... z niczem — nie wypada. To dobre dla dyrektora. A tu już i przygotowania, i koszta... do djabła!

Tymczasem markier przeciął kwestję po swojemu. Powierzywszy bilardy panu Feliksowi wyszedł, nim dowiedziano się, o co chodzi. Dopiero, widząc na podwórzu jego rosłą postać, górka oddała się niepohamowanej radości, pewna teraz swej sprawy.

I słusznie. Bo pana Aleksandra niełatwo byle czem zrazić! Dosłyszawszy po długich a bezskutecznych kołataniach jakiś ruch w przedpokoju, schylił się do dziurki od klucza, oznajmiając ze zwykłym spokojem:

— To ja, markier. A jak pan Ignacy sam nie otworzy, to ja drzwi z haków zsadzę!

I podparł ramieniem klamkę, aż zgrzytnęły przerdzewiałe zawiasy. Zaraz obrócił się klucz w zamku i z cienia wyjrzała szara, bólem ścięta twarz subjekta.

http://rcin.org.pl

— A, pan Aleksander!... Czym mogę...

— Ot, niech pan Ignacy przez próg puści, bo ja w sieniach gadać nieprzywykły.

Gdy zaś już byli w pokoju:

— Ja pana nie przyszedł pocieszać. To babska rzecz, a ja żołnierz. Powiem krótko: splunąć na całą sprawę!

Pan Ignacy ani na moment nie wzniósł opuszczonej głowy. Jakby nie do niego mówiono.

— Nu, panie Ignacy! I nam te historje znajome... W pułku, Bogu dziękować, kochanek u nas nie brakło... Rosjanki były, i Niemki, i swoje też... Zdradzały mnie i ja zdradzał — różnie bywało... Tylko, że wagi w kobiecie należytej niema...

Po chwili milczenia:

— Mnie pana żal, bo ja i sam przez baby wiele cierpiał... Nu, panie Ignacy, powiem ja panu po sekretu... Tu myślą, żem ja wdowy, tak. A u mnie samego żona ze sztabs-kapitanem uciekła... Dla tego ja z wojska wyszedł.

Markier mówił o tem niechętnie, ze zmarszczonemi brwiami. Łatwe do wyczucia, niewygasłe cierpienie ostro zahaczyło o ból pana Ignacego. Niby jeden ton z dwojga naraz skrzypiec. Subjekt odezwał się głucho:

— Uciekła? A pan co?

— Wiadomo co... Zęby ja zacisnął i kapitana zwierzchności do kary przedstawił. Sam w cywila się przebrał, ot, jak teraz — cierpię

http://rcin.org.pl

i czekam. Niedługo, myślę, z lubym zabawisz. I na moje wyszło. Wróciła...

— Wróciła?...

— A co jej było robić? Wróciła i do nóg się wali. „Tak i tak", mówi, „przebacz, w szaleństwie ja, ciebie tylko kocham jednego..." i różne podobne... Nogą ja ją odtrącił lekko... „Poszła won, taka córko!" Tylem jej i powiedział.

— Surowy pan bardzo...

— Tak to tak, ręka u mnie nie lekka... — potwierdził markier w zamyśleniu.

I zaraz, ocknąwszy się, klepnął w ramię subjekta.

— Nu, panie Ignacy! Pomartwił się — i przestać pora. Ot, tam chłopcy wypić panu przygotowali, czekają! Pójdziem wypić! Ulży, panie Ignacy... po sobie wiem... I znowu im pan gębę zatka, kiedy zobaczą, że pan nic, sam się śmieje... Tak trzeba. Hołota oni, prawda — ale zawsze taki życzliwość okazują. Pójdziem, panie Ignacy!

Ten zaś ścisnął głowę, nisko na rękach opartą, i skarżył się cicho, prawie do siebie:

— Surowy pan był... A ja, a ja... zmiłuj się, Boże! Chuchałem, dmuchałem, jak na pieścidełko, żeby tylko dogodzić, żeby się cieszyła... Praca do wieczora, a jeszczem nocami księgi prowadził, aby jej tylko na niczem nie zbrakło... I co? I co? Suknie miała, panie, jak

http://rcin.org.pl

królowa; cukierki, kwiaty nosiłem, jak na konkurach, wierzyłem jak w sakrament — nic, nic nie pomogło... Pierwszy przystojny błazen... Dlaczego tak, panie Aleksandrze? Zaco?

Markier gładził się pod brodę z powagą.

— Natura ich psia, panie Ignacy. I obchodzić trzeba się, jak z psem. Złup skórę rzemieniem do siódmego potu — lizać będzie, ogonem machać z radości... Ot, plunąć, panie Ignacy! Pójdziem pić!

Gdy wreszcie przyszli na górkę — pan Ignacy jako-tako spokojny — tam długą już chwilę trwało próbowanie dostarczonych trunków. Rzewność panowała w towarzystwie niezwykła. Od progu zaraz ujrzeli Długiego, jak, złożywszy rękę na ramieniu rządcy, z nieprzeniknionym uśmiechem słuchał jego czułej przemowy:

— Młokos pan, panie Długi, jesteś, szacunku ci, panie, dla siwego włosa brak, ale i w tobie bije serce ludzkie!... Nic nie mów — ja, panie, lepiej wiem! Udajesz, panie, tony, szurum-purum, jak indyk, a wewnątrz czyste złoto! Tak, bracie!... Nalej...

— Pan Ignacy! Pan Ignacy!

— Co? Pan Ignacy? A nalać-że mu!

— Bliżej! Tutaj! Na honorowe miejsce...

— Zacne z pana, panie, chłopisko — siadaj pan po prawicy! Sam naleję, panieńską rączką...

— Dziedzicu! Adyć nie w pełny!...

http://rcin.org.pl

— Co mi tam, panie, gada... Dla takiego i obrusa nie żal!

— Odrobinkę staruszka zawiało... he, he... — tłumaczył dyrektor z załzawionemi oczyma.

Pan Welkes przystąpił od sąsiedniego stolika z kieliszkiem portwejnu.

— Napij się pan... Porządny z pana człowiek, panie Ignacy! Welkes to mówi.

— Ho, ho! Nawet mu i świadectw nie potrzeba!... — ironizował pan Feliks, kiwając się arogancko na krześle.

Tylko panna Melanja, z biustem, złożonym na ramieniu pana Ignacego, o mało nie zepsuła miłego nastroju, szepcąc mu wdzięcznie do ucha:

— Niech się pan nie martwi, panie Ignasiu... Nie wszystkie takie... o nie! Są i dusze wierne, kochające...

Pan Ignacy zbladł. Ale jej zaraz przerwano:

— Co tam pani plecie, o! Tu nie biuro stręczeń!

— A idźże, duszo wierna, do kaduka!

— Wymawiam sobie ordynarność! Też wychowanie... ze stajni!

— Patrzcie-no! Babus stary, jak piramida, próchno się sypie, i zaraz z rączką...

Po kilku wypitych kieliszkach w głowie pana Ignacego świat zawirował lekko i przyjemnie. Zacni oni są jednak, delikatni... Ani śladu zakłopotania! Niewiadomo nawet, za czyje to wszystko pieniądze...

http://rcin.org.pl

Aha! Złożyli się pewnie, przyjmują go... Tak. Napewno. Tylko jakby kogoś brakło? Kogo? Tu siedzi pan Wrześniewski, tam Długi, dalej Feliks, Zawadzki, markier... Kogoś brak. A prawda — Perlbauma przecież!

— Gdzie Perlbaum?

— Perl, chodź-no! Pan Ignacy pitał sze na czebje!

— Perla tu!

Perlbaum przyskoczył pośpiesznie, obiema rękami trzęsąc podaną dłoń. Zachlipał się ze wzruszenia:

— Ja wiedziałem... Ja tam w kącie piłem, coby pan Ignacy zdrów był! Pan Ignacy nie mógł się na Perlbauma gniewać, bo on dostał w kark, i też w nim żadnej złości niema. Choć pan ma silną rękę, ojej, jaką silną rękę! To ja teraz usiądę...

— Siadaj pan—zezwolił pan Ignacy łaskawie.

Tatar, kryjący się dotąd za Długim, trącił go w ramię, kiwając na pełne kieliszki.

— Te! Jak myślisz — i ja chyba?... Nie?

Długi wzruszył ramionami.

— Pij! Co masz sobie żałować?

I przechylając się ku panu Feliksowi, stwierdził z melancholijną ironją:

— Niedawnośmy Sikorskiego... he, he... raczyli, a teraz Ignaca... Co?

— Hm... — bąknął tamten.

http://rcin.org.pl

O SMUTNYM RYCERZU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Urywek ze starego rocznika

1147. W miesiącu maju widziano na niebie kometę. Jaśniejący wielkich cnót wdziękiem król Ludwik za sprawą opata Bernarda przypiął krzyż wraz z ogromną liczbą pobożnych i wyruszył w drogę do Jerozolimy. Pociągnął za nim messire Hugo, pan na Bleumont, aliści zwrócił z drogi na wieść, jako pewien niecny rycerz zawładnął jego zamkiem i żoną. Dzięki łasce św. Amanda, naszego patrona, messire Hugo uwolnił żonę z rąk zbrodniarza w nietkniętym zdrowiu i cnocie. Ów zaś zginął czasu oblężenia. Zmarł opat Petrus. Wybrano Teobalda.

Czy widzieliście krwawy rubin śród perłowego sznura... Do rubina śród pereł podobny był mój smutny rycerz, o którym opowiem. Pamiętacie samotny irys na smudze białych lilji? Ten wie coś o moim smutnym rycerzu. Idźcie do gaju z kosodrzewin, gdzie jeden tylko chory rośnie dąb, a poznacie mego rycerza.

* * *

http://rcin.org.pl

Możny to pan, messire Hugo, sieur na Bleumont, dziedziczny władca na Corvenoy i Astourville. Niewielu mu dorówna w słonecznej Prowancji. Dwunastu rycernych wasali chadza w jego orszaku, siedem pochmurnych wieżyc krwią się co wieczór zalewa na murach zamczyska w Bleumont. Król Arelatu do rady go zowie, przyjacielem mu Savoy'i hrabia; gdy rozjęczą się w Aix wszystkie dzwony, jest jednym z czterech, co niosą baldachim nad arcybiskupa głową.

Bogaty to pan, a hojny, messire Hugo, sieur na Bleumont. Mówią, że nocą do podziemi schodzi przesypywać perły, a one z rąk mu kapią, jak łzy. Perskiemi dywany ściele drewniane zydle i skrzynie, krągłe, złocone tarcze i wysadzane szable kryją mu ściany.

Aleć nie bogactwa są messirowi Hugo drogie, jeno rycerska cześć i młoda żona. Szron bo już Hugonowi srebrem posypał głowę, szłom twardy włos mu na skroniach wytarł, gdy dziewkę wwiódł w łożnicę. Wspaniałej naci grono, ustałego wina puhar. Wianem-ci jej złote lica z brzoskwiniowemi puchy, oczy niby turkus rżnięty i srebrny głos. Gdy w śmiechu usta rozchyli, zda się, słońce po komnatach chodzi, blaski siejąc, zda się róże w ogrodzie pachną.

Dba messire Hugo o cześć rycerską i rycerskie zwyczaje. Z dziesięciu hełmów barwy pięknej pani wieją, dziesięciu ją opiewa minstreli. Ani brew dumnemu panu nie drgnie. Dba bo

http://rcin.org.pl

messire Hugo o cześć rycerską i rycerskie zwyczaje: jednego tylko rycerza ostrzem na turnieju przebił, jednego tylko więzi w ciemnicy minstrela...

Hej, messire, uśpiły cię srebrzyste fale!

* * *

Miłość! Miłość!! Miłość to kula złota, to gałąź ponad koronę wyrosła, to sen pachnący, to nieznanego morza wyspa, to białe wrzosy! Miłość!... Cóż o niej powie przekupień i nierządnica?

* * *

Czemu to dziewczęta wspięły się na palce i wyciągają łabędzie szyje? Czemu kupcy porzucili łokcie, na dzień jarmarczny nie bacząc? Skąd ten szpaler po obu stronach drogi?

Ach, to smutny rycerz z dalekiej wraca wyprawy. Gdzieś nad skalistym wybrzeżem zmógł okrutnego smoka, co, strachem oną krainę pełniąc, pasterzom trzody pustoszył, dziewki z łąk spędzał tańczące. Mnogich kości śmiałków wkoło jaskini legły, póki nie przybył, co go zwojować miał — rycerz smutny.

Smutny rycerz z dalekiej wraca wyprawy. Dwu heroldów na czele bieży z trąbami; cztery związane wozy dźwigają potworne cielsko, a jeszcze zwisa straszliwa paszczęka, pył miotając

http://rcin.org.pl

podwójnym jęzorem. Krwią zlane zielonawe ślepia niby żywe — drżą i chrapią giermkowe konie po bokach. Rozkwiliły się dzieci na matczynych rękach. „Wstyd beczeć, mały! I ty zwyciężysz smoka, jak dorośniesz. Wstydźże się, mężczyzna!“ Szepcą między sobą staruchy. „Chroń nas, Panno Najświętsza! Ponoć dla młodej pani z Bleumont, na jej rozkaz... oj, źle, źle, moja pani!...“ Prostują piersi dziewczęta. „Patrz, Blanka, jakie gładkie ma lica! Te oczy, te oczy smutne! Wiesz, Blanka, naszyjnik jej z arabskich pereł przywiózł, córkę emira dał jej za służebną, wiesz? Siedmiu flandryjskich rycerzy pieszo do Bleumont przyszło o uwolnienie prosić, w niemieckich krajach szarfy dla niej z hełmów zrywał! Ach, mój cudny, mój biedny!...“

Smutny rycerz wraca z dalekiej wyprawy. Płoną dziewczęce twarze, falują piersi, biodra się sennie kołyszą. Pocieszyłaby go tam każda: ustami żal starła z oczu, dałaby ustom młode ciało... mój Boże! Westchnienia dziewczęce!... Nie usłyszy was smutny rycerz. Jak znużony sokół, szuka wzrokiem miejsca, dokąd mu serce przyrosło. Do Bleumont jedzie smutny rycerz, dziewczęta!

* * *

Rozdzwoniły się srebrne dzwonki.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Twarde są smocze kły, rycerzu smutny?

http://rcin.org.pl

— Ani jak twój, pani, śmiech twarde, ani jak on błyszczące, pani.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Czy ostre są pazury smoka, rycerzu smutny?

— Ani jak twój, pani, śmiech ostre, ani jak on okrutne, pani.

— Ha, ha, ha, rycerzu! Czy głębokie masz na piersiach rany, smutny rycerzu?

— Głębokie są w duszy brózdy, co je tęsknota ryje.

Śmieje się piękna pani.

* * *

Znowu ruszył się mnich stary z Clairvaux. Nie dość mu, że w ciasnej celi rządy świata trzyma, nie dość, że poucza cesarze i króle, papieże wspiera. Palcem, od postów wychudłym, wschód świata bodzie, gorejące od umartwień ślepia wparł w ziemie Chrystusowe, srogi głos, jak wicher, po narodach idzie, pośnięte budzi do nowych o wiarę bojów. W niemieckie kraje, do Konrada cesarza ruszył stary Bernard; w słodkiej Francji do ciężkiej, Bogu miłej wyprawy już się zmawiają pobożne.

Pobożny to pan, messire Hugo, sieur na Bleumont. Rycerska gwara i końskie rżenie w zamczysku: sam messire ciężką zbroicę kładnie, w głos płacze młoda żona...

* * *

http://rcin.org.pl

Ciężko padają powieki na senny szafir, jakby chmury na błękit wzeszły.

— Ach, nudzę się, rycerzu!...

— Rozkaż co, pani.

— Żaliś nie wypełnił wszystkiego? Żaliś nie zwalczył smoka?

— Przez ciebie, pani.

— Żaliś mi pięknej Arabki nie dał za służebną?

— Dla ciebie, pani.

— Żaliś mnie w perły nie odział? Żaliś którego rycerza nie zmógł? Żali co do spełnienia zostało?

Jak rozdarty nożem dostały granat są pięknej pani usta.

— Żali nic nie zostało, rycerzu?

— Cóż, pani?

Pięknej pani piersi są jak alabastrowe czary z kroplą krwawego na dnie wina.

— Zostało, rycerzu...

— Co, pani?...

— Cicho, cicho... Nachyl się, rycerzu! Mnie zdobyć — słyszysz?

* * *

Podobna do złotej strzały przeszywa rozkosz piersi. Bywają twarde piersi, a zwiotczałe serca, które złota strzała kruszy i w proch strąca.

* * *

http://rcin.org.pl

Całą noc drżą mury od uderzeń taranów i wojennego zgiełku. Messire Hugo własnego dobywa zamku. Krwawa łuna pożaru liże ściany małżeńskiej alkowy, pani na Bleumont nagim ciałem pieści młodego rycerza. Piersią na piersi zległa, wargami rozgniata mu usta. Prosi o coś, zaklina.

— Otom ciało ci dała, a duszę zatraceniu... Sokole mój! Ach, słodsze mi twe usta od miodu, więcej upojne, niż wino! Gdy twoje ręce po mej piersi błądzą, drżę cała, i znowu ust twych pragnę! Mój, mój!...

Milczy rycerz. Twardym wzrokiem błądzi po komnacie, nieruchome zwiesił ręce.

— Kochanku mój, sokole! Ty, piękny, spójrz! Otom przed tobą naga, ja, na Bleumont pani. Jak służebnica wabię cię krasą ku sobie. Spójrz! Moje biodra, jak marmurowe wazy, rozkoszy pełne, moje ręce, jakby różowe wkoło szyi wstęgi! Usta daj, usta!!

Milczy rycerz.

— Daj, ucałuję ślady twych ran! Twe blizny — te zwarte usta: opowiedzą mi słodkie dzieje twych walk dla mnie... Pamiętasz? Śmiałam się, a wargi gorzały krwią wezbraną ku tobie... Przemów! Czemuś mnie zdobył? Zaco gardzisz?

Jak odgłosy burzy rośnie wojenna wrzawa. Wstaje rycerz.

— Nie, nie! Nie odchodź jeszcze! Niema na ten zamek mocy, gdy zechcesz! Ty silny! Ty

http://rcin.org.pl

potężny! Ach, krótkie są dla rozkoszy noce! Pójdź!...

— Ugasł mój żar dla ciebie! Otom zbył skarbu, gdym cię dostał. Ginąć mi czas!

— Kochanku mój! To jeno szczęście ślepotą ci na oczy padło! Nie odchodź, nie! Jakże mi żyć bez ciebie?! W gorące wieczory marzyłam, że mnie weźmiesz! Słyszysz? Nie, nie! U proga zlegnę, że nie przejdziesz! Włosy ci wkoło nóg owinę! Nie! Nie siłuj! Nie siłuj! Sokole!...

Żelaznemi dłońmi odrywa ciepłe sploty.

— Puść! Żal za tęsknotą moją mnie woła! Puść!

— Nie, nie! Nie pójdziesz!

— Puść!

* * *

Zdarza się czasem cichy, zduszony płacz kobiecy.

http://rcin.org.pl

STRASZNY DZIEŃ JANKA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Ośmioletni Janek siedzi na zwykłym miejscu, wolno popijając bawarkę z ulubionej filiżanki ze szczerbą, przypominającą głowę Turka w fezie. Niby wszystko jest, jak codzień, jak dawniej. Na prawo pękaty samowar sapie głośno, jak gruby, strasznie zmęczony pan na króciutkich nóżkach, którego jeszcze daleka czeka droga; smukła lampa, dla białości szklanego postumentu „panną" przez dzieci nazwana, rozlewa poprzez matowy klosz, niby przez ślubny welon, sennie łagodne światło; gruszka elektrycznego dzwonka kołysze się nierówno, włócząc po ścianach czarną, pogiętą linję cienia. Wszystko, jak dawniej.

Tylko serce chłopca pełne jest niepokoju. Teraz wie, że ciotka przyjechała specjalnie po to, aby Gieńkę zabrać na wieś, do siebie, a Janek zostanie sam, samiusieńki, choć nie rozumie zupełnie, jak to będzie. Przecież Gieńka ma już dwanaście lat, udaje nawet całkiem dorosłą, więc dla niej nie sztuka łagodzić „awantury" — Janek zaś co? Czuł, że spada nań straszna odpowiedzialność, na którą nie znajdzie siły.

http://rcin.org.pl

A ugiąć się niewolno, ominąć — niepodobna. Gdy pomyśli o tem, drży ze strachu: jakieś kamienne ręce kładą mu się na piersi, kładą i odejmują, kładą i odejmują... Och!

Idąc na ranny spacer z Marjanną, słyszał, jak grubym szeptem mówiła do sklepiczarki na dole: „Znowuj go całuśką noc nie było..." — „U tamtej?" — „A gdzieby? Godzi się to, moja pani? Pani chora, siostra dziecko zabrać przyjechała, a jemu tylko tamten wycierus w głowie. Obraza Boska z taką służbą, nic więcej!" Janek zrozumiał odrazu, i było mu strasznie wstyd, że u nich „gorzej niż u żydów", i przykro za ojca, że „nie taki, jak inni panowie", i że Marjanna, przed której powagą i pobożnością nielada czuł respekt, tak lekko się o nim wyraża. Ale nie powiedział nic. Cóż on może pomóc? Źle się nawet w tych rzeczach orjentuje, bo skąd? Matka obiecuje objaśnić mu, gdy dorośnie, Marjanny zaczepić się boi, a Gieńka... Gieńka może ze wszystkich najgorsza! Nosa drze, udaje że wiecznie zajęta, z Marjanną w konszachtach — wprost dogadać się nie sposób. Tłumaczyła mu niby kiedyś, lecz głupio i nie wszystko, „bo i tak nie zrozumie". Dowiedział się tylko, że ojciec zamiast na dom daje pieniądze jakiejś innej pani, i dlatego matka płacze, bo nie można nastarczyć, aż Kasia, pokojówka, musiała odejść, a ona, Gieńka, nie bierze już lekcji francuskiego i muzyki, ani nic — i żeby nie wtrącał nosa w to,

http://rcin.org.pl

co doń nie należy, lecz wsadził go w książkę choć na chwilę, bo pana Sierawskiego tylko, tylko patrzeć. Tak zawsze. Janek zrezygnował już z indagacji, choć widzi przecie, że od jakichś dwu lat całe ich życie nawspak idzie. I nietylko widzi, ale czuje to ciągle na nerwach, niby drewnianą piłę, niby czarny na wszystkim całun. Cóż mu po przyczynach, gdy skutki trzymają go w stałym napięciu i trwodze? Co go obchodzi, czemu ojciec nie nocował dziś w domu, ani na obiedzie nie był, gdy wie, czem to grozi? Och, wie zbyt dobrze! Będzie awantura, jak zawsze: wymówki matki, kłótnia, gniewny, nie do zniesienia głos ojca, ostry, przenikliwy płacz, klątwy i ten przemożny, konwulsyjny strach, żeby... żeby ręki nie podniósł, jak na nich, jak na dzieci... Och! Ten okropny strach...

Chłopiec wzdycha ciężko. Tak go to męczy! Jest mu, jak wówczas, gdy wyśmiewał się zeń Józek z drugiego podwórka, że nie doniesie do studni baby kamieniarskiej. Janek dźwignął i niósł wolno, powoli, coraz wolniej, a przed oczyma latały mu koła purpurowe, i zielone i żółte, a zmieniały się szybko, jak w kalejdoskopie. Przy studni padł na swój ciężar, uśmiechnął się do kolegów, później zaś szybko pobiegł do ciemnej sieni, by płakać tam długo, długo... A wcale nie wiedział, czego płacze. Teraz wodzi tęsknemi oczami za plączącym się po ścianie cieniem i wzdycha znowu.

http://rcin.org.pl

Bo coby im szkodziło żyć spokojnie? Ten ojciec! Zawsze surowy, suchy, z głęboką brózdą między czarnemi brwiami. Janek boi się już samego odgłosu jego zawsze lśniącego obuwia, lęka się szelestu jedwabnej podszewki zdejmowanego w przedpokoju palta. Oto wchodzi do stołowego wykwintny, smukły, nie witając się z nikim. Pochmurnie spogląda na zegarek. „Obiad jest?" Dzieci siadają do stołu cichutko, bez szelestu. Ojciec nieufnie przeciera łyżkę serwetką, rzucając na matkę uboczne, niechętne spojrzenia. Naraz kiwnął na Kasię. Pokazuje jakąś plamę, ciska serwetką o ziemię. „Cóż to znowu?! Łachmanami usta obcierać?!" Umęczony głos matki. „Kasiu, podnieś. Daj świeżą". I zaraz jakby syk, po francusku: „Możeby mi pani oszczędziła uwag przy służbie... bien?" Milczenie. Janek oddycha z ulgą. Je nieśmiało. Wtem czuje na sobie iskrzący wzrok czarnych ojcowskich źrenic. Miesza się, drży... „Gdzieś to wyuczył się tego mlaskania? Może odemnie?! W kuchni będziesz jadał... rozumiesz?!" Jankowi napływają do oczu ogromne łzy wstydu, czy strachu, w głowie huczy ciężko. Nie słucha, jak matka bierze go w obronę. A tam padło jedno zdanie... drugie... i znowu, znowu to samo, bez dnia wytchnienia... Nienawidzi wtedy ojca całą siłą duszy.

A pamięta, że nie zawsze tak było. „On" umie śmiać się, żartować całemi wieczorami, jak

http://rcin.org.pl

nikt. Janek nie zapomni, jak w tajemnicy przed matką, na jej imieniny, kleili w gabinecie zamek rycerski.,. Ho, ho!... A te wspaniałe historje o Bayardzie, tym, co to „sans peur et reproche..." Nawet i teraz jeszcze, gdy pokazywał cenzurę od pana Sierawskiego, same czwórki i piątki... Niby nic. Poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się leciutko. Nawet nie rozmarszczył czoła: a Jankowi serce biło z radości długą godzinę... Tylko, że to tak rzadko...

Podniósłszy znużoną i trochę senną głowę, Janek spogląda na matkę. Nic. Siedzi naprzeciwko, z oczyma utkwionemi w ostre refleksy światła na palisandrowej szafie. Blada, zasłuchana w ciszę twarz, jak umarła. Chłopca przeszywa nagły dreszcz niepokoju. O czem ona myśli? O czem wogóle starsi myślą? Tak długo myślą, bez przerwy, całemi godzinami... Oho! Pewnie o ojcu! O tem, że w nocy go nie było, że na obiad nie wrócił... Co to dziś będzie? Nagle Janek wstrząsnął się ze strachu. A jeśli matka dostanie ataku nerwowego? A tu ani Marjanny, ani Gieńki... on sam w całym domu! Co wówczas zrobi? Serce zatłukło w nim gwałtownie, przeczulona wrażliwość podsuwa obrazy coraz straszniejsze. Dostanie ataku z pewnością... jak wtedy, w ten najstraszniejszy dzień! Wtedy siedziała tak samo spokojnie, zamyślona, i naraz ten płacz coraz gorszy, ostrzejszy, jakieś najgłębsze szlochy, zmagania się całym ciałem,

http://rcin.org.pl

aż wreszcie krzyk nieludzki, niesłychany, który Jankowi świdruje w uszach aż dotąd. Jakieś przeciągłe wycia, zimnem przejmujący skowyt... brr!! Janek pamięta, jak wyrywała się Kasi i ojcu już na otomanie, gdy, nożem zęby dźwigając, wlewali jej w usta wodę z proszkami. Później jakieś wyrazy bez związku, z łkaniem... okropny, niepoznający wzrok... przerażony płacz jego i Gieńki... Boże, mój Boże! A jeśli teraz to samo? Chłopiec obserwuje matkę nieufnie, ze drżeniem. Ani się poruszy! Myśli i myśli, jak skamieniała... Z pewnością będzie atak! Żeby choć Marjanna wróciła od kupca... Janek nie może usiedzieć spokojnie: coś trzeba przecie zrobić, jakoś uprzedzić nieszczęście.

Boryka się ostrożnie z krzesełkiem, żeby nagłym hałasem nie zmącić napiętej ciszy. Okrążywszy stół na palcach, podchodzi do matki i ciągnie ją leciutko za koniec zwieszonego szala. Nie czuje. Pociąga mocniej, tuląc twarz do ramienia. Ocknęła się wreszcie.

— Wypiłeś już? Możeś głodny, co? Chcesz chleba z masełkiem?

— Nie, dziękuję... Ja tak sobie, matuśka...

— Pieścić się? Ty kocie mój mały...

Chłopiec wyczuwa na włosach lekkie drżenie głaskających go palców — i znów powraca uciszony łagodnemi słowami niepokój. Objąwszy matkę za szyję rękoma, tuli się do niej coraz serdeczniej.

http://rcin.org.pl

— Matuśka... Ale ty jesteś spokojna, co?

— Jak to „spokojna"? O co ci chodzi?

— Nic, nic...

Zrozumiawszy, że powiedział głupstwo, gramoli się dla zatarcia wrażenia na matczyne kolana.

— Oho! Ale teraz jestem ciężki, prawda? Jak dorosnę...

Lecz ona powraca do dawnego.

— Poczekaj-no!... Jak to było z tym spokojem?

— Nic... naprawdę nic... Gieńka dziś wyjeżdża, więc myślałem, że ci bardzo żal.

— Widzisz, dziecko... jej tam będzie lepiej, niż z nami...

Dzięki Bogu, wykpił się szczęśliwie! Teraz tylko dużo mówić, póki kto nie przyjdzie.

— A czy to deleko, matuśka? A czy tam ładnie?

— Och, daleko... Byłeś przecie, sam powinieneś wiedzieć.

— Nie pamiętam, to tak dawno... A dla czego wuj nie przyjechał?

— Wuj zajęty, nie może.

— A co robi?

— Gospodaruje... tyle ci razy mówiłam.

— A prawda... To tatuś lepiej, bo inżynier mosty stawia... nawet i dla wojska się przydadzą. Jakby było powstanie.

http://rcin.org.pl

Naraz urywa, zmieniając niebezpieczny temat o ojcu.

— Ja na wiosnę pójdę do wstępnej, prawda, matuśka?

— Cóż ty dziś z temi pytaniami?

— A bo chciałbym wiedzieć, jak jest w szkole. Prosiłem pana Sierawskiego tyle razy, to nic nie chce powiedzieć, zawsze tylko gramatyka i słówka na jat'. Już wszystko umiem na pamięć, nawet i sufiksy, choć trudne i bez sensu.

Widząc na jej twarzy lekki uśmiech, śpieszy wykorzystać nastrój:

— Wiesz matuśka... jak Gieńki nie będzie, to nie każ Marjannie zamykać na noc drzwi z dziecinnego do kuchni... Dobrze?

— Pocóż to?

— Bo, widzisz, tak ciemno... i ja zupełnie sam...

— Ale!... Co ci tam znowu do głowy przyszło. Z kuchni zaduch, swąd... I skąd te strachy? Tchórz jesteś?

Zarzut boli chłopca tembardziej, że nie może jej przecie powiedzieć wszystkiego. Chce mieć tylko Marjannę pod ręką na wypadek awantury, bo ciemności — choć nie jest miła — on, Janek, przyszły oficer powstania, nie lęka się wcale... Ani trochę. A tu zaraz — „tchórz". Broni się gorąco, wymachując rękami w zapale:

— O, tchórz! Wcale nie tchórz! Zobaczy mama — oho! Ja wiem, że chłopaki biją się w szkole, Władek mi mówił... I myśli mama, że

http://rcin.org.pl

się boję? Ani odrobinki, ani tycio! Jak dam jednemu! Jak dam drugiemu!... Niech mnie który zaczepi, oho! Niedawno na podwórku, tom tak walnął Staśka w łeb...

Niestety! Zbyt sobie późno przypomniał, że niewolno mu schodzić na dół.

— Toś był na podwórku... proszę, proszę... Kiedyż to?

— Nie, matuśka... Tylko chwileczkę — zaraz wróciłem. Bo, widzisz, Gieńka miała lekcję i tak mi się strasznie nudziło...

— Wszystko jedno. Wiesz, że ojciec tego nie znosi, duży jesteś — czas zrozumieć. Znowuby się gniewał...

Janek spuszcza głowę, zmartwiony. Wymknął się cichaczem przez kuchnię, gdy Marjanna nie domknęła drzwi, sunąc za jej plecami pokryjomu, na palcach... Serce aż mu tłukło z rozkoszy!... — gdzie tam wówczas myśleć o ojcu! tym goręcej całuje teraz matczyną dłoń, głaszczącą mu policzki.

— No, no! Nosa do góry, tylko pamiętaj na przyszłość. Czekaj. Dość całowania... zdaje się, że ktoś idzie na górę... Co? Tak, tak — ciocia pewnie! Idź-no, otwórz.

Zeskakuje z kolan i biegnie do przedpokoju, nie dbając o stojące tam duże lustro, o którym wie od Marjanny, że ktoby się w nim za długo przeglądał, zobaczy własną śmierć. Jeśli, przebiegając obok, Janek odwraca głowę, to dlate-

http://rcin.org.pl

go jedynie, że wcale nie ciekaw tego widoku. Przegięty przez poręcz schodów, woła radośnie w dół:

— Gieńka, ty?!

— Ja, ja! Czego?

— Chodźże prędzej!

Dziewczynka w kilku susach jest obok niego. Pyta niespokojnie:

— No? Stało się co? Gadaj! Ojciec może...

— Nie, nic...

— Toś głupi! Czego się drzesz bez potrzeby?

— A ty nie wymyślaj! Gdzie ciotka?

Z dołu odzywa się energiczny, choć przerywany zmęczeniem głos.

— Idę, idę! Te wasze schody... to akurat do... łamania nóg, nie... do wchodzenia! Uff! Wreszcie! A wy tu co — kłótnie? W ostatni wieczór? Niema co — czułe rodzeństwo...

— Kiedy-bo to Gieńka...

— Nie skarżyć! I tak chevalier narobił hałasu na cały dom. Powieś-no zarzutkę!

Janek spełnia rozkaz z nabożeństwem. Już sam wygląd ciotki jest przedmiotem jego admiracji; wysoka, z ostro wysuniętym, jak u ojca, podbródkiem, o tych samych czarnych, ognistych oczach na wyrazistej twarzy — tchnie mocą i pewnością. Każdy jej giest, każdy wyraz napełnia spokojem duszę chłopca. Nie dziwi go wcale, że, choć młodsza, całuje matkę w czoło, jak małą dziewczynkę.

http://rcin.org.pl

— Bon soir, Hélène! Wiesz, te wasze wielkomiejskie apartamenta na trzecich piętrach nie mają sensu za grosz! Nie lepiej to wziąć, choćby i trzy pokoje, au premier? No, ale passons... Więc za półtorej godziny jedziemy. Zaraz tu przyjdzie hotelowy pour expedier les bagages...

— Jak to? Już? Tak prędko? Ależ...

— Mais si, mais si, prędko! Vous fairiez des adieux toute une semaine, a mój Charles zrobi jakie głupstwo beze mnie. Niema o czem mówić — c'est fait. Twego miłego mari, rozumie się, dotąd nie było?

— Ale Jeanne, to niemożliwe, ten wyjazd... taki nagły! Co ja mu powiem? Tu le connais bien, tak bez zapytania, bez niczego... wysyłać dziecko...

— Kto sam nie umie wychować, musi znosić, że się tym inni zajmą. C'est tout simple. Coście wy zrobili z temi bębnami? Chłopak jakiś... dziwny, dziewczynka ciągle się czegoś lęka... une psychopathe... prawie... Ten jej list do mnie, żebym przyjechała: nerwowy, rozpaczliwy, zupełnie dziecka w tem nie znać!... Si, si!... Wasza wina, nie masz się czego oburzać, ma chère! Vous faites la guerre na koszt tych malców. Chłopaka ci na razie zostawię, ale Gienia... Elle est dans un âge... tu comprends.. Enfin, zabieram ją — et c'est fini.

Janek nie słucha wcale rozżalonej, pół-szeptanej odpowiedzi matki. Nowa dlań wiadomość

http://rcin.org.pl

o liście Gieńki wstrząsnęła nim do głębi. Więc to tak? Pisała, żeby ją zabrać... dlatego on zostanie sam! Odczuwa to, jako podstępną zdradę. Poczekaj, Geniucha! Zobaczysz! Zawrzała w nim głucha zazdrość, że to nie on wpadł na myśl napisania do ciotki. Jego by wtedy zabrała, napewno... Szybko odwraca głowę, by skryć gorące łzy przed ciotką. Lecz ona i tak nie zwraca nań najmniejszej uwagi, niechętnie potakując matczynym wywodom.

— No tak, no tak, ma chère... nie wątpię, że ci ciężko, wiem, wiem... Lecz, sama przyznaj, ta twoja wieczna jalousie, a przytem siedzenie w tym domu, jakby nigdy nic... Rzuciłabym go natychmiast; albo-albo! A tak co wywojujesz? Ces dames mają sposoby... c'est connu...

Naraz urywa, chwyciwszy na sobie zasłuchany wzrok dziewczynki.

— Moja Gieniu, idź-no pokaż Jankowi ces emplettes, cośmy dla niego zrobiły! Ale nie tutaj, nie! Zapalcie sobie lampę u siebie... tak, tak, adieu!

Podczas rozwijania paczek w dziecinnym Janek trwa w rozżaleniu i uporze. Mimo entuzjastycznych okrzyków siostry patrzy pochmurnie w inną stronę, całą siłą powstrzymując ciekawość. Nie ustąpi, żeby tam nie wiem co było! Pewnie!... Teraz dają prezenta, żeby go pocieszyć... A jakże! Poczekaj, Geniucha, myślisz, że się z tobą pożegnam?! Jedź sobie, nie wracaj! — Janek woli nawet, kiedyś taka.

http://rcin.org.pl

— Janek, Janek! Patrzaj-no! Jest i armatka!... Sama wybrałam, żebyś wiedział! Jak rumniesz... patrz-no!... O, dał już kozła!

Chłopiec odwraca się ostentacyjnie.

— Janek! Cóżeś ty zwarjował?! Patrz-no!... Żołnierze przecież!...

Ani znaku zainteresowania. Gienia szarpie go za rękaw, usiłując zajrzeć w zasępioną twarz.

— Janek! Co tam znowu? Czego się buńduzysz, głupi?!

— Odejdź, Geniucha!

— Gadajże! Obraziłeś się? Na mnie?

Janek wzrusza tylko pogardliwie ramionami.

— A jakże! Widzę przecież... No gadaj... o co? Prędko gadaj, bo to ostatni wieczór... No, Janek! Zaraz jedziemy!...

— Dużo mnie obchodzi... Jedź, kiedyś się wyprosiła... Nawet lepiej!

— Aha! O to panu bratu idzie... Wcalem się nie prosiła! Przeciwnie, nie chciałam jechać, żebyś wiedział!

— Kłamczuch! Kto list pisał?

— Pisałam, ale tylko żeby ciotka przyjechała zrobić tu porządek... Dużo ty rozumiesz! Skąd miałam wiedzieć, że mnie zabiorą? Aaa!... Widzisz! Właśnie! wstyd ci teraz?!

— Wcale nie wstyd! Bo wszystko jedno, i tak zostanę sam.

— No, Janek, Janeczek... Cóż ja ci poradzę?... Sam powiedz, no! Przecieżeś ty już duży... wiesz,

http://rcin.org.pl

że jak każą, to muszę jechać. Jeszcze się gniewasz?... Eee... Naprawdę...

Janek wcale się już nie gniewa, tylko pełen jest głębokiej dla samego siebie litości. Czuje się zupełnie słaby i mały.

— Tak, tak... a jak pojedziesz, to co ja zrobię? Znowu będą awantury — i co? Tobie dobrze...

Taraz Gienia z kolei opuszcza głowę.

— Janek!... Alem ja wcale nie winna... Naprawdę, Janek!... Ja rozumiem, że mnie łatwiej, bom starsza — tylko co poradzę? No chodź! No, Janek, mój bratek mały...

Pociągnąwszy go na starą, wygodną otomanę, dziewczynka głaszcze pochyloną głowę brata, od czasu do czasu całując długie, ciemne loki. Tuli go, uspokaja. Po chwili dopiero, objąwszy ramieniem jego szczupłą szyję, mówi niepewnym szeptem prawie mu do ucha:

— Janek... Ale uważaj!... Jakby była awantura, to musisz mnie zastąpić... rozumiesz, Janek?

W półzmroku, wśród kompletnej ciszy, głos jej nabiera jakiegoś tajemniczego wyrazu, z którego wieje chłodny strach. Janka przebiega znowu zimny dreszczyk. Nie odrywając od lampy zastygłego wzroku, szepce żałośnie, niby tłumioną skargę:

— Och, Gienia!... Dzisiaj będzie... Ja wiem, dzisiaj będzie... Co ja zrobię?...

Nowy szept dziewczynki, mocniejszy teraz, jak rozkaz.

http://rcin.org.pl

— Nie bój się nic... Rób wszystko, jak ja... wiesz przecie... Kiedy zaczną się kłócić... rozumiesz? Jak będziesz widział, że źle — to stawaj między niemi i wrzeszcz, czy płacz, byle głośno... Rozumiesz, Janek — głośno!... I długo... póki nie przestaną!...

— Och, Gienia, ja się boję!... Ja tak się boję!...

— Nie bój się, mówię — nic nie będzie... Oni zaraz przestaną... Tyle razy widziałeś... No, Janek! Przecie ja, baba...

Lecz on nie słucha już, z oczyma pełnemi łez, drżący. Szepce gorączkowo, ściskając jej rękę w gorącej pięści.

— Gieńka, nie jedź!... Ja cię tak proszę!... On ma wtedy takie straszne oczy.. ja się boję, Gieńka! On uderzy, z całej siły uderzy, zobaczysz...

— A jak ją uderzy... wtedy co?

Janek płacze cichutko. Wówczas ona znowu pieści go litościwie, z ciężką troską na surowej twarzyczce.

— No, Janek, no, Janek... nie becz... Przecież mnie nie bił... prawie wcale... i to nic, a nic nie boli!... Naprawdę, Janek!... Nie jesteś też sam, wcale nie: mówiłam Marjannie, żeby uważała dobrze... zapytaj się, jeśli chcesz. I ciotce powiem niedługo, żeby mnie odesłała... zobaczysz! Że nie będę u nich za nic!... Żeby ciebie zabrała... wiesz!

Janek płacze.

http://rcin.org.pl

Od stołowego słychać energiczne kroki. To ciotka. Dzieci wypuszczają się momentalnie z objęć; chłopiec zaciera szybko pięściami ślady łez. Lecz już to spostrzegła.

— O tak! O tak! Tylko nie mazać się, bo nikt nie umarł! Niema czego! Eh bien, petite, zabieramy się... Zawołaj-no waszej Marjanny, żeby pomogła rzeczy znieść.

I zaraz, podnosząc dwoma palcami brodę chłopca do góry:

— A chevalier czego się maże?! Hm?... Nie cierpię mazgajów, rozumiesz? Nie tłumacz się — widzę!... Masz tu teraz siedzieć i uważać. Jakby co... compris? Matki nie daj, rozumiesz? Marjanna ma też zapowiedziane... No, no...

Łagodząc głos, całuje chłopca serdecznie w czoło.

— Ciotczysko nie takie złe, nie... tylko nie beczeć. Jak będziesz się dobrze sprawował, może wezmę i ciebie. No, no... Nous verrons... adieu!

Obietnica przemyka się koło uszu Janka bez oddźwięku. Nie wierzy. A zresztą cóż mu z tego, że kiedyś tam wyjedzie, gdy dziś, napewno dziś, czeka go ta straszna chwila, na którą niema rady. Przez ciągle stojące w oczach łzy patrzy na przedwyjezdne krzątania, nie widząc ich prawie. W myśli, jak palący, jaskrawy punkt, stoi szeptany rozkaz Gieni: „Rzuć się między nich i krzycz, byle głośno!...“ Ach, Boże, Boże! Boi się, okropnie się boi! Gieńka ço innego!...

http://rcin.org.pl

Z bolesnym podziwem przypomina sobie, jak kiedyś, podczas najgorszej kłótni, gdy ojciec już pięści zacisnął, blady, z wykrzywionemi usty, i już, już... aż Janek oczy zamknął ze strachu — jak Gieńka wtedy rzuciła się naprzód, krzycząc, zwyczajnie krzycząc na „niego": „Co też tatuś wyprawia! Niech tatuś idzie!!" I nogą tupnęła, czerwona cała, jak piwonja. Jak on się bał wówczas!... Jak dygotał!... Aż oczy mu się wcale nie chciały otworzyć. Tymczasem „on" wyszedł rzeczywiście, coprawda trzasnąwszy drzwiami tak, że trzeba było ślusarza wołać do naprawienia klamki.

Tak! Gieńka wcale się nie boi; nie tak, jak on, Janek. Przez umęczoną głowinę przesuwa się podejrzenie własnego tchórzostwa, zalewając serce gorącą falą wstydu. I zaraz znika przed uczuciem beznadziejnej goryczy. Co tam! Niech sobie będzie nawet tchórzem, kiedy nie może poradzić. Niech! Wszystko mu jedno! Byleby uciec przed „awanturami", byleby żyć, jak inne, szczęśliwe dzieci!...

Łzy nie ustępują z oczu ani na chwilę. Postacie żegnających rozpływają się, toną w łunach ostro przełamanego światła. Janek czuje po głosie matki, że musi płakać, lecz jej blada twarz wydaje się tylko matową, rozlewną plamą. Gienia, znowu Gienia! całuje go, wtykając do rąk jakieś kartki. I znowu szept. „Jakby co, pisz zaraz — Marjanna wrzuci do skrzynki. Pisz, Ja-

http://rcin.org.pl

nek, to cię wydostanę..." Dobrze, dobrze! Wszystko mu jedno — może i pisać! Teraz głos ciotki, już ze schodów: „Allons, petite! Dépêchetoi!... Au revoir, Hélène! Au revoir!" Jeszcze łoskot zamykanych drzwi — i już!

Matczyna ręka gładzi go po twarzy, przełzawiony głos sili się na spokój:

— A teraz Janek pójdzie do łóżeczka... Późno już, bardzo późno.

Marjanna ujmuje go za rękę szorstką dłonią, mrucząc niecierpliwie:

— Niech-no Janek pójdzie!... Dziesiąta, a tu ani statki pozmywane z kolacji, ani co!...

Wbrew zwykle stawianemu oporowi, chłopiec idzie za nią posłuszny, jak nigdy. Bo co go czeka? Przyjemność żadna, to pewne. A zasnąwszy, nie wie się nic przynajmniej, ani czuje. Żeby tylko prędko, prędko usnąć, zdążyć, nim jeszcze ojciec wróci.

Szybko załatwiwszy wieczorne mycie, Janek siada na łóżku i podaje klęczącej Marjannie buciki do rozwiązania. Korzystając z chwili, gdy jej surowa, poorana twarz nachyla się nad tasiemką, prosi możliwie pokornym tonem:

— Marjanno, moja kochana... Proszę nie zamykać drzwi od kuchni... żeby choć taka maleńka szparka została, dobrze?...

— Niech-no Janek trzyma nogę prosto!... A drzwi pani kazała zamykać, bo zaduch leci. No już! Tera pacierz, prędko!

http://rcin.org.pl

— Moja Marjanno... Ja tak się boję... no, moja Marjanno!.. Bo jak Marjanna nie usłyszy...

Chłopiec lęka się dokończyć, by nie powiedziała czego przykrego o rodzicach. Zresztą służąca rozumie od razu.

— Iii!... Jak się oni biją, to nie Jankowa rzecz! Choćby sobie łby porozbijali... Janek ma spać i już! No dalej! Pacierz!... W imię Ojca, i Syna... O, jak to leci!... Wolno!... Tak... Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...

Klęcząc na łóżku, Janek recytuje modlitwy powoli, z namaszczeniem, aby tylko Marjannie dogodzić. Skończywszy, odzywa się raz jeszcze nieśmiało:

— Dobranoc Marjannie. A te drzwi Marjanna zostawi?

— Dobrze, dobrze. Niech Janek śpi!

Tak, rozumie się! Zamknęła za sobą, jak zawsze, mimo obietnicy! Janek czeka chwilę — może sobie przypomni — lecz daremnie... Zeszedłszy z łóżka, nasłuchuje trwożnie przez moment. Dolata mruk jakiejś nabożnej pieśni. Chłopiec uchyla drzwi leciusieńko...

— Marjanno!... Przepraszam... Przecie Marjanna obiecała...

— Czego Janek lata po nocy?! Spać, bo pani zawołam!

Mocno pchnięte drzwi zatrzaskują mu się przed samym nosem. Chłopiec wraca do łóżka z zaciętą rezygnacją, zrzekając się dalszych prób.

http://rcin.org.pl

Nie po raz pierwszy się przekonał, że starsi zawsze oszukują tylko, dają słowo, żeby później nie dotrzymać. Zwinięty w kłębek, odwraca się do ściany, jak najdalej od ciemnych kątów. Niech tam! Ostry niepokój zmienił się w uczucie miękkie, choć bolesne, jak ćmienie zęba. Zrobił swoje — teraz niech się dzieje, co chce!

Naraz drgnął pod dotknięciem czyjejś miękkiej dłoni. To matka poprawia mu kołdrę, jak codzień. Znany, uspokajający szept:

— Śpij, śpij, dziecko...

— A mamusia też się położy? Prędko?... Prawda?

— Tak, niedługo... Śpij z Bogiem.

Siadłszy na łóżku, przytula go do siebie gorąco, szepcąc w pieszczocie, pełnej nerwowego uniesienia:

— Moja syna mała!... Mój skarb złoty, moja pociecha jedyna... Duma moja!... Obrońca matczyny...

Janek całuje długie, białe ręce z uczuciem przykrej wstydliwości, którą zawsze wywołuje w nim jej egzaltacja. Z ulgą przewraca się na bok po jej odejściu. Czuje do niej głuchy żal, przetkany serdeczną litością, niby srebrzystą nicią. Przecie mogłaby ustępować, nie odpowiadać ojcu. Przynajmniej takby Janek zrobił na jej miejscu. A zamiast tego jakieś dziwne historje, których zrozumieć nie można. Zawołała go kiedyś, nie tak dawno, do salonu, gdzie rozmawiała

http://rcin.org.pl

z ojcem długi czas, w ciągu którego Janek miejsca sobie znaleźć nie mógł ze strachu. Wszedłszy nieśmiało, zdumiał: stali oboje na środku, matka z głową wspartą na ojcowskiem ramieniu, lekko na bok przegięta w objęciu... „Chodź, Janek!... Bliżej!... Pocałuj ojca w rękę!... To najszlachetniejszy człowiek na ziemi!" Janek cmoknął, ale było mu czegoś wstyd... Widocznie i ojcu, bo strzepnął lekko palcami. „Mais, chérie... mais laisse donc..." Unikał później Jankowego wzroku przez kilka dni. A potem... któregoś wieczora... znowu...

Eh, co tam o tem myśleć! Dosyć, dosyć! Janek podciąga kołdrę na głowę, by ujść otaczającej ciemności, i marzy.

Czyni to codzień przed zaśnięciem, stwarzając sam sobie chwile radości czystej i promiennej, jak rozedrgane krople bijącej w słońcu fontanny. Ma nawet kilka gotowych, ulubionych tematów.

Oto na czele lekkiego pułku jazdy sunie Janek jakąś szeroką drogą po równinie, gdzie, jak okiem sięgnąć, drgają w leciutkim wietrze szmaragdowe fale młodych zbóż. Gdzieniegdzie tylko, w oddali, śmieją się doń bielone ściany chałup, chytrze wysuwając iskrzące ślepia okien z gąszczy różanych pąków kwitnących jabłoni i czereśni. Maj. Konik pod Jankiem kary, ze strzałką, szyję ma wygiętą, lśniącą; szabla Jankowa w ręku, jak srebrny promień, akselbanty kołyszą się

http://rcin.org.pl

w kłusie miarowo... raz, raz... Z boku wali wachmistrz stary z wąsiskami, jak wiechy... Chorągiewki z tyłu furkają...

Nagle Janek obraca się do wiary, szabelką łysnął — stój! Wydeptaną z boku ścieżyną chłop idzie, z dziwem na to wojsko patrzy.

— A daleko do Krakowa, gospodarzu?

— Aby ino za górkę, panicku.

Czapczysko zdjął, a furt mu się oficer za młody widzi. Serce Jankowe łomoce z dumy. Bo on nie jest zwyczajnym oficerem — nie! On właśnie wygrał okropną bitwę. Niemców wypędził i teraz do Krakowa jedzie na przyjęcie. Jak Książę Józef. Czeka go tam na Rynku cały lud, procesje naprzeciw wyszły, we wszystkie dzwony biją...

Już i Kraków. Ulice w dywany, w kwiaty strojne... Janek jedzie stępa, przed nim oddział wiary miejsce robi, bo się przez stłoczoną gawiedź przecisnąć trudno. Wiwaty, wrzaski! Wszystkich zdumienie ogarnia, że taki mały... „Na Zamek", krzyczą: „na Zamek, za króla go chcemy! Vivat Jan Czwarty! Niech żyje!!" Jankowi aż dech zapiera... Szepnął coś staremu wachmistrzowi, ku Rynkowi skręcają, przed Sukiennice... Ryknęły moździeże. Vivat! Vivat!! Z balkonów wstążki wieją amarantowe, białe... chylą się stare sztandary... Janek rękę u kasku trzyma... W strzemionach stanął na moment, przez głowy patrzy... Są, są! Z konia przed

http://rcin.org.pl

estradą skoczył, biegnie po schodach, klęka... Długie, białe ręce do piersi go tulą, słyszy radosny szept: „Synu mój... dumo moja!“ A już i ojciec rękę mu ściska... w czoło poważnie całuje... Janek nie oddałby tego uścisku za nic! Gieńka patrzy nań z boku nieśmiało, nie wie, jak się zachować... Janek uśmiecha się łagodnie: „Jak się masz, Gienia... Cóż u Ciotki słychać!...“ Jest i pan Sierawski.

Czar prysł. Widok pana Sierawskiego, szybkim ruchem gładzącego czarne baczki, przypomina Jankowi niedouczoną dzisiaj bajkę Kryłowa. Sennie rozmyśla, że trzeba będzie jutro wcześniej wstać. Czy aby zdąży? Odpycha tę sprawę z niechęcią, starając się wrócić do przerwanego marzenia. Całą siłą chce stanąć znowu na krakowskim rynku, nawet brwi ściąga, by się skupić... napróżno. Poco zresztą? Ma przecie inny temat, niezawodny.

Gieńka czytała mu kiedyś w Wieczorach Rodzinnych prześliczną powieść pod tytułem: „W dziewiczych lasach Ameryki“. Historja o małej dziewczynce, która wraz z rodzicami i służbą przedziera się przez brazylijskie puszcze, w celu, w celu... Janek zapomniał już w jakim, ale to wszystko jedno. Dość, że dziewczynka ma włosy tak złote i jasne, że są piękniejsze od najprawdziwszych złotych nici. Ach, są wprost przecudne! Janek nie widział ich nigdy, a zdaje mu się, że są tu... obok niego... na poduszce,

http://rcin.org.pl

pachnące i takie złote!... Włosy tak przedziwne, że nawet dzikie plemiona Indjan — co to zza drzew wydmuchują zatrute strzały — poznawszy się na nich, porwały dziewczynkę, by czcić ją jako bóstwo. Jest tam również i mały kuzyn tej dziewczynki... Wspaniała historja! Najzabawniejsze, że Gieńka, czytając, nie podejrzewała nawet, iż ów mały kuzyn to właśnie nikt inny, tylko Janek, Janek we własnej osobie. Ot teraz właśnie zsiada z muła na obszernej polanie, gdzie karawana stanęła na nocleg. Jego niby-wuj obchodzi okolice dla zbadania, czy wypadkiem wśród gąszczy ljan nie przyczaiła się jaka puma, czy pantera, by ubić im które ze zwierząt pociągowych. Janek idzie za nim ze strzelbą, gotową do strzału każdej chwili. Naraz wuj wydaje okrzyk zdziwienia. Pod największym z drzew znajdują niezgrabne kosze, pełne pachnących owoców. Janek spostrzega niewielką kartkę: „To od niej! Od Lily!" — „Daj, chłopcze! Prędzej!" Wuj czyta mu przez ramię: „Tatusiu! jestem zdrowa! Te dzikusy modlą się do mnie całemi dniami. Kazałam zostawić dla was trochę jedzenia. Dążymy w kierunku południowo-wschodnim". Niby-wuj żegna się nabożnie, a z jego oczu płyną łzy radości. Janek popłakuje również, lecz wcale nie z radości, tylko z tęsknoty za złotemi włosami. Dla ukojenia i ukrycia smutku (bo Janek wstydzi się niewiadomo czego) wychodzi poza obozowisko, gdzie ma mu się zdarzyć przygoda

http://rcin.org.pl

z lampartem. Tymczasem ku własnemu zdumieniu znajduje się w obszernym przedsionku, skąd prowadzą na górę schody, pokryte czerwonym chodnikiem z mosiężnemi klamrami. Dziwi go to strasznie, lecz nagle przypomina sobie, że to przecież hotel, w którym staje ciotka. A prawda! Jasne przecie, jak słońce! Teraz tylko na górę, na drugie piętro. Idzie przez długie korytarze, znowu schodzi na dół, wreszcie jest na rozległem podwórku. Wkoło, na piętrach, biegną balkony takie same, jak w biurze, gdzie pracuje ojciec. Oho, już słyszy jego głos. Krzyczy o coś na pana Sierawskiego. Ale zaraz, zaraz... o co? Pan Sierawski kłania się tylko i mówi, że Janek nie umie bajki Kryłowa. Janek chowa się za wystający filar, by nie wpaść w oczy ojcu. Jak on krzyczy!... Czego się tak gniewa? Gieńka wsuwa mu do ręki jakieś kartki. Aha! To żeby pisał... dobrze. Pana Sierawskiego już niema. Na kogo ojciec krzyczy? Nagle obija mu się o uszy wzburzony głos matczyny... i zaraz potem przykry huk i brzęk rozbitego z siłą talerza. Brrumm!...

Zbudzony nagłym łoskotem, Janek siada na łóżku, przecierając zaspane oczy. Chwila ciszy. I naraz chrapliwy z wściekłości, rozkazujący krzyk ojca:

— Taisez vous! Taisez vous, vous dis-je!!

— Nie, nie!... Dosyć milczałam! Dość cierpiałam! Przepełniła się moja cierpliwość, dosyć!

http://rcin.org.pl

Ty, ty śmiesz mi wyrzucać... ty!... Żem zła matka, że godności domu ci nie podtrzymuję?!... Ha, ha!... Ty — i godność, ty — i dom! Ha, ha, ha!! Na żebractwo ci dzieci idą...

Janek nie słucha dalej. Jest awantura, jest! O, Boże, Boże! Co tu począć, co tu zrobić! Gorączkowemi ruchami odrzuca kołdrę, spuszcza się na zimną podłogę... Jak oni krzyczą! Co to będzie bez Gieńki! Nagle zrywa się i na dygocących nogach biegnie ku drzwiom kuchennym.

— Marjanno!... Proszę na chwilkę... Marjanno!

Z za drzwi dolatuje tylko gęste chrapanie. Krzyki ze stołowego nie ustają.

— Marjanno! Marjanno!

Chwyta za klamkę. Zamknięte. O, Boże! Dobija się teraz z całych sił.

— Marjanno! Marjanno!

Nic i nic. Tylko jakiś mruk niewyraźny. A tam znowu grzmi ojcowski bas:

— Ani słowa!! Wtyd mi pani całe życie robisz!! Nic od pani więcej nie miałem!

Zamknęła się i nie chce otworzyć! No tak! No tak! I co dalej?! „Rzuć się między nich i płacz, czy krzycz, byle głośno...“ Nie, nie! Za nic! Janek słyszy głośne kłapanie własnych zębów. O, Boże, Boże!

Rzuca się ku drzwiom i cofa znowu. Nie, nie! Łkając bezdźwięcznie, klęka naraz przy

http://rcin.org.pl

łóżku. Ostry chłód podłogi przeszywa jego nagie kolana.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen... Ojcze nasz... Któryś jest w niebie... święć się imię Twoje...

Krzyki nie ustają ani na chwilę! Krótkie teraz, rwane, jak psie warknięcia.

— Zazdrość, że młodsza, co?!

— ...przyjdź Królestwo Twoje... bądź wola Twoja...

Naraz Janek urywa. Łka już głośno w poduszkę, wyrzucając co moment gorączkowym szeptem:

— O mój Boże! O moja Boziu kochana! Niech się oni nie kłócą... niech już przestaną... Ty wiesz przecie... że ja nic... nie mogę... poradzić... O moja Boziu!... Moja najukochańsza!... Niech się nie kłócą!...

— Milczeć mi, bo!!

— Właśnie! Ladacznica! Sto razy powiem!! Ty!... Ty...

— Milczeć!!

— ...o Boziu, o Boziu najukochańsza!...

— ...Uderz, ty — podły! U...

Janek wyprostowuje się gwałtownie w strasznym napięciu. Serce bije wolniutko... raz... dwa...

Jezus, Marja!! Uderzył!!

Chłopiec zrywa się z kolan i pędzi do stołowego ze skamieniałym w gardle krzykiem.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ZDARZENIE

http://rcin.org.pl

Panu Władysławowi Kłyszewskiemu

http://rcin.org.pl

Po zmierzchu już wjechali w Bodziejowskie lasy. Dwa tęgie cugowe niosły leciutko elegancki wolancik po rozmiękłej od deszczów drodze. Zaraz po zachodzie zaczęła się tu między paprociami włóczyć wilgoć, niby mokre szmaty; z każdą chwilą szmaty rozciągały się, wzwyż rosły, aż pod milczące korony olbrzymich sosen, zwycięską ścianą zawaliły szeroką drogę, do snu po rowach zległy. Zimno.

Karski wyczuwał przez rękawiczkę ostry chłód trzymanej dubeltówki. Od miejsca zetknięcia biegły wzdłuż ręki tysiącznemi kroki lekkie dreszczyki, i bawiło go wysiłkiem woli zatrzymywać je u ramienia. Ani piędzi dalej! Chwila wahania, jakby popłochu w ściśniętych szeregach, deptanie się na miejscu — i stop! A już ze zwiniętej dłoni nowy oddział pnie się szybko ku górze.

Wkrótce jednak szykowne letnie palto przestało chronić go przed wilgocią. Karski spojrzał zazdrośnie na ogromny koc towarzysza i zawrzała w nim szczera niechęć. „Sam się, głupiec, nie domyśli! Na prośby czeka! Belfrzy-

http://rcin.org.pl

na!“ Wsunął się gwałtownie w róg pojazdu, popychając „profesora“ bez żadnej ceremonji. Ten uchylił się usłużnie, z pośpiechem i wraz począł mówić rozrzewnionym, pełnym śmieszków głosem:

— Pan nie śpi? I ja nie mogę... Czuję, jak ten spokój leśny, ten ostry zapach wzmacnia, powraca mi siły, zdrowie! Bo niech pan tylko wciągnie powietrze w piersi... co? Te igły sosnowe, paprocie, żywica! Ach, panie! W mieście tego za żadne pieniądze nie kupi... He, he, he... W szkole brud, zaduch, w domu żona się biedzi... Już od początku roku neurastenijka za progiem czeka, doktór rączki zaciera... he, he... Tak, panie, u nas...

Odpowiedzi nie było.

— Na wsi i ludzie lepsi. Taki pan hrabia... Powozem, panie, jedzie własnym, kłaniam się z ulicy skromnie, bo gdzie... rozumie pan... a on wysiada, wypytuje, zaprasza do siebie, do majątku... A niby co ja dla niego? Że uczyłem go kiedyś ze dwa lata? Miły Boże!...

Karskiego znudziła ta gadanina do cna. Mierził go nawet sam nędzny wygląd natrętnego rozmówcy. Przerwał mu ostro, zwracając się do woźnicy, którego tęgie bary rysowały się przed nim w ciemności, jak złom kamienny.

— Michał! Daleko jeszcze?

— Aby za górkę przewalić, zaraz będziem!

— A nie wiesz... W leśniczówce ma ktoś czekać?

http://rcin.org.pl

Gajowy obrócił się gwałtownie i niejasne podejrzenie wyjrzało z jego przystojnej, męskiej twarzy. Uciął sucho:

— A tego, jaśnie panie, to nie wiem. Wio, małe!

Karskiego również odbiegła ochota do pytań. Zdenerwowanie, nie opuszczające go już oddawna, wracało nową falą. Poco on, u djabła, jedzie na to głupie polowanie? Trząść się milami, nocować po leśniczówkach — a wszystko, żeby swemu „wysokourodzonemu" przyjacielowi, Władkowi, hrabiemu — psiakrew! — ułatwić wyjazd z żoną do matki, żeby się nim, jako gościem, nie krępował. Poco on wogóle tutaj przyjeżdżał? Poco siedzi? Eh, do kroć!! Rzucić przyjaźnie, pożyczkę, stosunki!... Tak, tak, a Zagaje zlicytują, jak Bóg na niebie...

Zdawało się takie proste. Powiedzieć Władkowi wprost, jak dawniej, kiedy się jeszcze w Niemczech o dziewczyny zakładali: Pożyczno, grafie, tyle i tyle..." Całe to hrabstwo kpin było warte! A tu naraz grzeczności, ale jakieś zbyt subtelne, serdeczność, jakby trochę protekcyjna... O pieniądzach słowa wykrztusić niepodobna. Siedzi od tygodnia, przysięga sobie co wieczór — i nic! Do djabła! Do djabła!

Poprzez drzewa zamigotały oświetlone okna jakiegoś domostwa, niby wystraszone ślepia. Dojechali. Karski lekko zeskoczył, z rozkoszą prostując zziębnięte członki, i poszedł przodem,

http://rcin.org.pl

ani dbały o towarzysza. Nagle zalała go struga światła z rozwartych drzwi. Ktoś usuwał się przed nim, chichocąc, a z jakiegoś kąta obszernej izby biegł mu na spotkanie starczy, schrypnięty głos:

— Kaj cię niesie, ścierwo! Jeszcze swoje za noc odrobisz, nie bój się!

Oślepiony buchającym na kominie ogniem, Karski ledwie rozeznał leśnika pod łachmanami na ławie.

— Pochwalony. A cóż tak klniecie, dziadu?

Stary zwlókł się ciężko i całował rękę pańską z mamrotem. Zgarbiony był jakoś nad miarę, nogi, niby cudze, za sobą ciągał, policzki wklęsły mu się głęboko pod kaprawemi ślepiami.

— Siedźcie! Trzęsie was, czy jak?

— Oj, trzęsie, trzęsie, jaśnie panie! Już ta nie rok i nie dwa... do grobu napędza. A tu dziewka ani pić poda, ani okryje, ani obiad uwarzy, jak się patrzy... Proszki, co od jaśnie hrabini przysłane, ze śmieciem precz wymietła! Aby jej do chłopów! Suka, nie córka!!—rozżarł się znowu.

Młody, dźwięczny głos odkrzyknął wesoło z poza drzwi:

— Sameś ojciec kazał, a teraz gadanie! Pensję bierzecie za nic, to wam i strach, coby nie struli!

— Łżesz, pieskie nasienie!!

— Ano, wasza córka!

http://rcin.org.pl

Stary aż się zakaszlał z wściekłości. Pluł długo, ocierając rękawem żółtawe kłaki na twarzy i przytrzymując oburącz nadszarpniętą pierś.

Nareszcie i profesor wygramolił się ze swego koca. Wszedłszy do izby, wraz począł głupawo podmigiwać Karskiemu i szeptać głośno, wyszczerzając spróchniałe zęby.

— Uuu... sikorka! Widział pan? He, he...

Karskiego poderwało wewnętrznie. „To bydlę, no!" Z głębokim wstrętem patrzał na ostentacyjne chowanie rąk przed powitaniem starego, z pogardą słuchał łaskawie zawstydzonych powiedzeń:

— Ale co wy, przyjacielu... nie trzeba... skądże...

„A bydlę!" Ze strachu, że nie pohamuje wzbierającej złości, Karski wyszedł zarządzić kolację. Śród ciemnej nocy za progiem stanął, nasłuchując parskania koni; po chwili dopiero wpadła mu w oczy czarna masa wolantu i dwa splecione obok niego cienie. Doleciał go gniewny, zduszony szept:

— To ci zapowiadam: aby mi z którym co... ubiję, psiakrew!

I zaraz dźwięk pocałunku i obojętnie pieszczotliwy głos:

— Głupiś, Michał.

— Zapowiadam! Żeby ci nawet we łbie nie postało!!

— Ehe! — mruknął Karski.

http://rcin.org.pl

— Michał!

Oni już go spostrzegli i rozłączyli się bez pośpiechu.

— Słucham, jaśnie panie!

— Później odprzężesz, kolację wydaj!

Dziewczyna wracała do izby wolno, jakby nigdy nic. Przechodząc koło Karskiego, otarła się oń całym ciałem. Moment. Ledwie dojrzał uśmiechnięte usta, a nim się obrócić zdołał, już mu za drzwiami znikła. „Aha — Władkowa niespodzianka!" Ręka podniosła się mimowolnie do wąsów i przygładziła włosy.

Za chwilę siedzieli już wszyscy przy długim stole, panowie u nakrytego białym obrusem końca, gajowy skulony w przeciwnym rogu. W powietrzu zawisła ciężka i smaczna woń jajecznicy z szynką. Karski oglądał dziewczynę z pod przymrużonych powiek. Była przecudna. Stojącą hardo w łunie buchającego ognia zdawały się rozbierać te blaski i oddawać wszystkim oczom. Krwawe ramiona ognia tuliły się z głuchym rykiem do opiętych bioder, sięgały po wysoką pierś; jasne strugi rozpylonego złota padały we włosy, na twarz i odchyloną szyję, pieściły zmysłowy szkarłat ust, paliły iskry w tajemnie sennych źrenicach... Jakby w miłosnej kąpieli naga, otrząsała bryzgi świetlne niedbałemi ruchy, pyszniąc się tym dorodnym ciałem coraz zuchwalej...

http://rcin.org.pl

Karskiemu rozdęły się nozdrza i oczy nabrały twardego połysku. Już się nie marszczył, patrząc, jak rozemglony wzrok profesorzyny oblepiał, niby śliską cieczą, wspaniałe kształty; przeciwnie — słuchał chciwie niemrawego gaworzenia i chichotów:

— A co, a co, klejnocik, perełka!... Nie mówiłem? I panu ślinka idzie... hi, hi, hi... Dziewczynka, jak cukiereczek! Edukowane to po dworach, bez mała perle franse — po ubraniu widać! A kiedyś znałem i mamusię tej panienki... Malowanie, powiadam panu! Co zaś do tego, to i owszem: na prawo i na lewo... hi, hi... Tylko że młody byłem, zasady wzbraniały...

— Ciszej! Stary słucha!

Profesor skurczył się momentalnie.

— Nie... przecież ja nic... tak sobie baję.

Wszedł Michał. Spojrzawszy bacznie po zebranych, nachmurzył się i bez słowa siadł obok starego. Dziewczyna nakrywała teraz do stołu, rozstawiając talerze, składając misternie wydobyte z kosza serwetki. Gdy wypadło przechodzić koło którego z mężczyzn, opierała się na nim przez chwilę z miną senną, spokojną...

Karski patrzał na one szczególne manewry nie dziwiąc się ani trochę. Cały mózg zajęło mu pragnienie jej piękności; myślał jakby językami ognia. Znowu wyczuł na twarzy gorącą prężność jej piersi, gdy nachylona, stawiała coś na stole z umyślną niezręcznością. Zatrzymać

http://rcin.org.pl

przy sobie! Niech trwa chwila! Raptem zaświtała mu ostra pewność: „Będzie moja. Dziś jeszcze". I oddał się cały radości tej jednej myśli. Spojrzawszy z przekornym uśmiechem na pochmurnego Michała, zatrzymał jej rękę w swojej lekką pieszczotą. Pytał łaskawie:

— A gdzie to cię uczyli tak ładnie nakrywać?

Wzrokiem błądzi wokoło pulchnych, spragnionych ust.

— W Śmiałowicach, jaśnie panie. Joasia mnie zwać.

— Sługiwałaś?

— Chowałam się od maleńkości, później za młodszą.

Ani jednego uśmiechu. Tylko piersi szybciej falują.

— A teraz?

— U ojca, od kiedy panienka zamąż poszła.

Puścił ją, domyślając się jakichś tajemnych manipulacji profesora pod serwetą. A już i stary zacietrzewił się znowu:

— Cie ją! Panienka jej na zawadzie! Pięć rubli brała na miesiąc, żarcia co wlezie, to i sparło. Łaziła za paniczem, jak ta suka, aż wypędzili!... Na łeb!

— Michał splunął w kąt uczenie i z pogardą.

— Tfu! Starzyście, a byle co gadacie... jeszcze przy panach.

— Musi wiem, kiej gadam!

http://rcin.org.pl

— Niektóre widzenie też lepiej w gębie trzymać, bo nie pachnie.

— A tobie do niej co?! Aniś jej brat, ani mąż, choć więcej dziewki pilnujesz, niż lasu!... Ino na nic ci się wszystko, Michał, zdało; na sakrament nie złasisz — wyżej patrzy... he, he...

— Mnieśta się teraz czepili? Nie strzymacie! Próżne wasze ujadanie, kiej taka wam rodzona, jak i mnie.

— Cie go, juchę! A tobie kto powiadał?!

— Minęliśwa pana z Górek, Andrzeja, i kłania się wam pięknie. Bajanie! Bez to złość was trzęsie, coście nijak do waszej pod pierzynę nie trafiali; zawżdy już tam były cztery nogi gotowe...

— Bodajeś zmarniał! Widziałeś?!

— Ja tam tych dziwów nie ciekawy... Ino miarkuję, żeście musieli gnaty słoniną mazać, coby nie skrzypiały, a i to kobieta z sękatego kija większąby miała uciechę.

Rozżalił się stary.

— Ej, Michał, choroby nie wydziwiaj, bo i nad tobą jest ręka Boska! Galant! Za młodu dwóch bym takich przeskoczył, póki mnie drzewem nie przywaliło... Jeszcześmy razem z Sikorą Maciejem...

Zaniosło się na długie opowiadanie, którego jednak nikt nie słuchał. Myśli mężczyzn omotały dziewczynę gorącą siecią i zawisły na niej. Milczała w ciągu tej rozmowy, jakby o inną

http://rcin.org.pl

szło; tylko od czasu do czasu plątały się w kątach jej ust uśmiechy drwiące. Pewna już swej władzy, powściągliwszą się stała, a każdej pieszczocie powolną; nabrała ruchów miękkich, falistych; źrenice jej zwilgotniały, wargi rozchylały się w oddechu, jak róże.

Karski poweselał na dobre. Sytuacja przypomniała mu lata pierwszej kipiącej młodości, owe sprawy junackie i przygody miłosne, z których był sławny, jak nikt. Teraz powziął plan prosty i zwycięski: pofolgować wyraźnym afektom profesora, wysunąć go na pierwszy ogień, a gdy już będzie u celu, jednym strzałem ubić myśliwca i zwierzynę. Sam pijąc niewiele, dolewał wciąż sąsiadowi i z głośnym w duszy śmiechem pozwalał mu na ukryte poufałości względem Joasi. Bawił się. Odesławszy na szary koniec butelkę tęgiej nalewki, nawet dziewczynę do wypicia kieliszka przymusił; nieustannemi żartami trzymał ją przy sobie, czuły na najlżejsze dotknięcie.

Wódka zrobiła swoje. Pod koniec wieczerzy było już coraz głośniej i goręcej: raz w raz darły powietrze gęste śmiechy, zaczepki niewybredne, a złośliwe, nawet Michał rozchmurzył się zupełnie. Poprzez siny dym tytuniowy słabo czerwieniały dogasające węgle. Izba mroczniała.

Ścisnąwszy dziewczynę mocno za rękę, Karski wstał i wyszedł na powietrze, gdzie długo

http://rcin.org.pl

błądził między drzewami w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Jest. Jakieś krzaki w ustroniu o sto kroków. Skradając się do wolantu, zabrał profesorski koc i, poklepawszy konie, wrócił z cenną zdobyczą. „No, wszystko. Byle mi się tylko dureń zanadto nie rozkleił!" Czekał, drżąc z niecierpliwości i niepokoju, a przed oczyma stała mu ciągle wysoka pierś i pulchne ponsowe usta.

Czekał długo, strasznie długo. Zimno nocne przejęło go lodowemi szpilkami. Szczękał zębami, z oczyma, wlepionemi w stronę domu. Nagle w jasności rozwartych drzwi ukazała się Joasia. Stała chwilę, rozglądając się uważnie, a już profesor parł ku niej na niepewnych nogach. Karski zbliżył się szybko, cichemi krokami... Chude piszczele czepiały się dziewczęcych rąk, wtykały jej coś za gors; drżący, zająkliwy chucią głos szeptał urywanie:

— Masz tu... o, jeszcze!... Poczekaj... Tylko jeden raz...

Nabiegłe śliną usta ledwie wyrzucały wyrazy. Karski rozdzielił ich sobą gwałtownie i, nim przeszło oszołomienie profesora, zabrał dziewczynę, jak swoją. Objąwszy ją silnym ramieniem, prowadził bez oporu, mówiąc prawie z gniewem:

— Cóż to, pieniądze bierzesz, głupia?! Od takiego?

— Kiej pan sami dają...

http://rcin.org.pl

— Rzuć to zaraz! Rzuć, mówię!!

Gorączkowo szukał w pugilaresie.

— Masz, za stanik wetknij! Daj, sam włożę!...

Dochodzili już do krzaków. Wisła mu na ręku coraz ciężej, a po nim wary biegły. Wtem uczuł dotknięcie zimnej dłoni: profesor dopędzał ich z rozrzuconemi włosami, o błędnym spojrzeniu.

— Panie, panie Karski, mój panie!... Dla pana wszystko jedno, a mnie... choćby raz w życiu... Taka dziewczyna!... Mój najsłodszy panie... raz w życiu!...

Karski wyrzucił wściekle z za zwartych zębów:

— Odczep się pan, psiakrew!!

— Panie, ja tak proszę... Joasiu!...

— A do starego djabła!!

Pchnięty naodlew, profesor padł, jak długi. Słychać było coś, niby płaczliwą skargę, później szybki bieg w stronę domu.

Dziewczyna przelękła się zajścia. Ale miękki opór podniecał tylko Karskiego.

— Nie bój się, głupia... Czego? Taki tam dureń!

— Boję się...

— Cicho, cicho... No, pokaż oczy... o tak!

Przyciskał ją do siebie coraz goręcej. Nozdrza drgały mu raz po raz, szybki dech rwał piersi. Ledwie słyszał swój przytłumiony szept:

— Słuchaj, ty... Joasiu... Do siebie zawiozę, do domu... Suknie ci sprawię... będziesz cho-

http://rcin.org.pl

dziła, jak pani... Czego się bronisz?... Wezmę i tak, głupia!... Joasiu... kochanie... poczekajno... o tak! Jeszcze, jeszcze...

— Boję się...

Siłą stanik zdzierał, całował szyję, ramiona i piersi odkryte. Drżącemi rękoma pieścił całą jej postać, a ona mdlała mu prawie na ręku. Tylko gdy ku ziemi ją cisnął, broniła się ostatnim odruchem...

— Nie, nie... panie, nie...

Ani na to zważał zapamiętały. Nagle wydarła się ze zduszonym krzykiem:

— Jezu, Michał!

Gajowy wychodził wolno z za krzaków. Ponury był, a oczy gorzały mu, jak świece. Karski zerwał się.

— Czego tu?!

— A tego, coby jaśnie pan dziewki poniechał! Na Chrystusa pana proszę!

Mówił dobitnie jakoś i groźnie.

— Precz, kiedy nie wołałem!!

— Jaśnie panie, bo będzie z nami źle!

Bez namysłu Karski trzepnął z dołu, w same zęby. I prawie jednocześnie uczuł cios w głowę i drugi, poniżej piersi, tak straszny, że z głuchym jękiem zatoczył się gdzieś pod krzaki. Gdy przyszedł do siebie, doleciał go nieludzki, ze strachu oszalały skowyt:

— Ady nie za włosy, Michał!!... Nie za włosy!!

— Milcz, ścierwo sobacze!!

http://rcin.org.pl

— Michał! Michał! O Jezu!!

— Ubiję!!

Zerwał się i biegł za niemi bez myśli. Właśnie, wwaliwszy dziewczynę do wolantu, chłop ruszał, stojąc na stopniu. Karski uczepił się gorączkowo z tyłu za metalową poręcz.

— Stój! Stój!!

— Znowuś tu?!

Świst bicza i straszne razy w nachyloną głowę.

— A masz! A masz!!

Sekundę trwał bez ruchu, trzymając w dłoniach twarz posiekaną. Z piersi wydzierały mu się jakieś gardłowe, niepowiązane dźwięki. Raptem puścił się do izby, jak wiatr. Niewidzącemi oczyma namacał dubeltówkę, naboje — i wypadł pędem. Wolant ginął już w lesie. Karski wypalił, nie mierząc. Chwilkę słuchał... tylko śmiech urągliwy z oddali... Karski zaszlochał głośno. A później już tylko nabijał i walił, nabijał i walił...

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY

	Str.
Kij w mrowisku	7
Altruista	41
Barowska	61
Wyznanie	83
Wacek	99
O czarownem zielu i rycernym pasie	107
W cukierni	115
O smutnym rycerzu	153
Straszny dzień Janka	163
Zdarzenie	193

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

M. J. hr. WIELOPOLSKA

KONTRYFAŁOWE LICHTARZE U ŚW. AGNIESZKI

nowelle — str. 156

Świetna stylizatorka tematów historycznych i egzotycznych prawdziwie kobieco rozmiłowana w wykwincie i bogactwie słowa, skupia swą uwagę w tym tomie przeważnie na polskim i włoskim renesansie. Nikt tak jak Wielopolska nie umie na makatach epoki wyszywać wzorzystych ściegów słowa, nikt lepiej nie zna duszy wyrafinowanych kobiet, zaś w tworzeniu efektownych sytuacji posiada własny styl i własne umiłowania. „Kontryfałowe lichtarze" zawierają poczęści nowe utwory, poczęści ogłaszane już dawniej, ale przetworzone troskliwie i rozwinięte bogato. Różne tematami, łączą się wspólnym, pełnym grozy i zimnej uczuciowości tonem, a w barokowem nieomal obrazowaniu osiągają wspaniałość materjału artystycznego, którego przepych odczuć mogą w pełni tylko miłośnicy wykwintu i cyzelowanych, jubilerskich klejnotów.

„W szeregu nowel mamy wprost świetne odtworzenie tła i dekoracji charakterystycznej różnych epok, jak również odczuwanie psychiki człowieka, którego kształtują warunki dziejowe".

(„Kurjer Polski")

„Wczuwając się jak mało kto w naszej literaturze współczesnej w rasę ludzi i styl epoki, na barwnem, pstrem tle barokowego przepychu wskrzesiła nasz ówczesny świat: hulaszczych biskupów, możnych wojewodów, zdeterminowanych rycerzy i z rzadką maestrją i subtelnością przedstawiony, smutny majestat ostatniego Jagiellona."

(„Ponowa")

http://rcin.org.pl

ANTONI SŁONIMSKI

TEATR W WIĘZIENIU

powieść — str. 190

Pierwsza powieść wybitnego liryka i jednego z protagonistów najmłodszej literatury jest ciekawą próbą ujęcia psychiki współczesnego artysty na tle dzisiejszej epoki. Wartki tok narracji wypadków, przewijających się jakby w kalejdoskopie, w subtelnych konturach rysuje postać poety Anatola Zorna, dla którego świat jest murami więzienia, a życie — bezustannym widowiskiem. Dzieje Zorna nie są dziejami buntującego się więźnia — jest w nim jakieś apatyczne poddanie, bierna reakcja wobec wypadków życiowych, wypływająca z poetyckiego odosobnienia, z poczucia poetyckiej siły, wyzwalającej się w porywach samotnych uniesień. Poprzez całą powieść przewija się nić romansu, ujętego w formę zupełnie wyjątkową, wybiegającą poza ramy wszelkiego szablonu.

„Słonimskiego uważają jedni za wybitnego artystę, gdy drudzy odmawiają mu wszelkich zdolności oryginalnych. To już znak pewny, że Słonimski ma talent miary niepośredniej. Tak jest istotnie. „Teatr w Więzieniu" jest dziełem talentu."

(„Tygodnik Illustrowany")

„To, co już dzisiaj zdobył (Słonimski) i co trzeba jaknajskrupulatniej podkreślić, to zdolność interesowania tematem i dar pisarski. Wysławia się zręcznie, jego styl nie jest wulgarny, słowo rzutkie, nabrzmiałe barwą, a oszczędne."

(Adam Grzymała-Siedlecki w „Rzeczypospolitej")

„Przy dzisiejszej posusze belletrystycznej za wybitny utwór powieściowy należy uważać Antoniego Słonimskiego „Teatr w więzieniu."

(„Czas")

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN Biblioteka ul. Nowy Świat 72 00-330 Warszawa Tel. 26-69-53, 26-52-81
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
482

http://rcin.org.pl